EPOKA

ROK IV. Warszawa, 5 listopada 1937 r. Nr. 21 (100)

Treść numeru:

Akademicy literatury: ludzie godni lepszej doli

Zatarg Karola Huberta Rostworowskiego z Polską Akademią Literatury jest znany dostatecznie; zbędną więc byłoby rzeczą rozwijać tę wymowną wstęgę zdarzeń, w której się on wyraził, jak również przypominać finał, który stał się jego uwieńczeniem

Nas tutaj interesuje nie przebieg waśni, lecz coś o wiele ważniejszego: to, co było w niej refleksem społecznym; to, co, sięgając daleko poza osobowość obu głośnych mistrzów literatury, z wyjątkową jaskrawością odsłoniło dominantę pewnych sfer dzisiejszego życia umysłowego w Polsce: — przyśpieszone tempo uwsteczniania się inteligencji.

Cóż uczynił katolicki hrabia spod Wawelu? Jako przedstawiciel warstwy, która cały byt swój oparła na skrzepach myśli i usługach politycznych kleru, Rostworowski z rozmachem krzyżowca rzucił cały swój autorytet pisarski na szaniec obrony nie tyle czci biskupa, ile tej myśli i tej Polski, której biskup Sapieha patronuje.

I taka żarliwość obrończa nas nie dziwi.

Któż bowiem mógłby łudzić się w naszym kraju, że episkopat nie ma pod ręką kilku tuzinów hrabiów, pałających wiarą w dobrodziejstwa klerykalizmu; że w Polsce zbrakło już uosobionych przeżytków z dawnych czasów saskich?

Zjawisko, któremu na imię Karol Hubert Rostworowski, nie jest — powtarzamy — samo przez się ani dziwne, ani niezrozumiałe. Co najwyżej, budzić ono może sensację z uwagi na wigor, na krewkość i upór, z jakim występuje i firmę swą narzuca w wieku, bądź co bądź, dwudziestym.

Smutnego, natomiast, podziwu godna jest dopiero postawa tych naszych żywiołów intelektualnych, które mieniły się elitą postępu i awangardą walki o przebudowę Polski a z bezprzykładną niemocą cofają się przed łopatą jej grabarzy.

I w tym demonstrowaniu niemocy Polska Akademia Literatury osiągnęła stanowisko przodownicze.

Od chwili powstania tej instytucji, mającej przewodniczyć naszemu życiu literackiemu, nie było, istotnie, wypadku, aby w komplecie zabrała ona głos

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. Cena egzemplarza gr. 50

wyraźny w jakiejkolwiek sprawie, dotyczącej twórczości literackiej a mającej znaczenie powszechne. Co więcej: nawet i poszczególni ludzie, zamarynowani w Akademii, odkąd wystąpił z niej Rzymowski, milczą, już nie jak żywe — z księgi Berenta — ale jak martwe, gładko ociosane komienie. A jeśli się nawet odzywają, to po to, aby wzajem zachęcić się do niefrasobliwej drzemki. Łatwość, z jaką rozstano się z Rzymowskim w chwili, gdy publicysta ten znalazł się pod atakiem grup, które z kolei potym miały uderzyć — tym samym argumentem! — na Sieroszewskiego, świadczy o szczerej niechęci w stosunku do każdego, który tę drzemkę zamąca. Możnaby mniemać, że przed powołaniem do Akademii poddaje się ludzi okastrowaniu z tego najdelikatniejszego zmysłu, który podpowiada godność osobistą oraz niezależność myśli i postępowania.

Ani wzięci pospołu, ani każdy zosobna, nosiciele gwiazdy akademickiej nie dostrzegają zmian, zachodzących w społeczeństwie. Nie chcą widzieć narastających w nim sił, z których te zmiany się rodzą.

I oto, dzięki tej ich niemocy, opłyniętej drzemką, tak wypukle, siłą kontrastu, zarysował się twardy posąg Rostworowskiego. Na tle miękkiego ciasta nawet noga stolca biskupiego nabiera brzmień spiżowych.

Cóż, że Rostworowski w swych wierszem kleconych dramatach raz po raz kuleje częstochowskim rymem, raz po raz grzęźnie w banałach katechizmu? W szermierce agitacyjnej niesie go zapał Pegaza. Z zajętych przez się okopów arcybiskupich uderza w przeciwnika mocno, jędrnie, zapalczywie, gdyż jasno widzi cel, do którego zmierza.

Ponieważ panowie akademicy nie podnieśli rok temu protestu przeciw barbarzyńskiej kampanii, rozpętanej przeciw Rzymowskiemu z powodu kilku zdań, przytoczonych bez cudzysłowu w jego książce, stanowiącej dzieło myśli oryginalnej i świeżej, przeto, biorąc tę małoduszność Akademii za zachętę do dalszych ataków, oskarżono z kolei jej prezesa, zarzucając mu już nie kilka zdań, ale całe rozdziały rzekomo zaczerpnięte z obcych źródeł. Pisarzowi, który do ksiąg pielgrzymstwa i bohaterstwa polskiego wcielił tajgi Sybiru, zarzucono, że jest cudzej muzy... złodziejem! Ten bezmyślny zarzut plagiatu w stosunku do Sieroszewskiego, jak przedtym w stosunku do Rzymowskiego, był oczywiście pretekstem, poza którym czaił się atak na ich stanowisko w sprawach publicznych.

Jeśli istniały w tym względzie jakiekolwiek wątpliwości, to rozproszył je nie kto inny, tylko właśnie Rostworowski. Z wyniosłą dumą, z nieustępliwą pewnością siebie ruszył on do ataku w barwach arcybiskupich. Wystąpił w tym momencie, gdy ostrze oskarżenia o plagiat okazało się już zbyt łobuzerskie, aby miało być skuteczne. A rzucając się w wir walki, nie taił swoich znaków bojowych, nie owiiał w bawełnę tego, o co i o kogo walczy; pod jaką stanął chorągwią, wokół jakiej obraca się osi. Nie trzeba zaś zbytniej przenikliwości, aby pojąć, że na tej samej osi chciałby osadzić całe życie Rzeczypospolitej.

Na tak stanowcze, bezwzględne wyzwanie czymże odpowiedziała Akademia? Czy zdobyła się na stanowisko odważniejsze, niż wobec napaści na Rzymowskiego?

Nie; odpowiedziała tym razem bodaj jeszcze małoduszniej. Odpowiedziała wulgarnym nietaktem, wypierając się swego prezesa, którego nagle zmieniono w „prywatną figurę". Zdegradowano go, aby go unieszkodliwić. Z jednej strony, do ataku wystąpił kondotier z rozwiniętym w pełni sztandarem niesionej przez siebie sprawy. Z drugiej strony, przykucnęli, podwinąwszy ogony, gwiazdonoścy Akademii, chowając się za szyldzik formalistyki, pozwalający im — w sprawie, która wstrząsnęła sumieniem narodu — nie mieć „publicznego" zdania.

Możnaby powiedzieć, że teraz, mimowoli, Rzymowski osiągnął na swych dawnych kolegach z Akademii satysfakcję moralną, zyskując dowód, jak zaszczytne jest stanowisko wybitnego w Polsce pisarza, nie związanego solidarnością z ludźmi, pojmującymi swą godność tak, jak ją pojmują gwiazdy akademickie.

Zespół panów akademików milczał dostojnie w owych chwilach, gdy ich prezes z trybuny senackiej, a więc trybuny politycznej, wspierał splendorem swego imienia obozy koncentracyjne; gdy później tymże splendorem przeciwstawiał się sądom przysięgłych w naszym wymiarze sprawiedliwości. Żaden z ich grona głos nie podniósł się wtenczas, aby autorowi „Dna nędzy" wytknąć wykolejenie z torów wzniosłej sztuki na poziome tory polityczne. Nikt nie podawał wtenczas w wątpliwość jego prawa do reprezentowania Akademii Literatury. Dopóki składał ofiary bogom, dysponującym władzą i pieniądzem, mógł być pewien zaufania kolegów a nawet cieszył się ich dyskretnym poklaskiem.

Ale nastrój na fotelach zmienił się od razu, gdy w starym sybiraku pękła warstwa kompromisów, przebita, jak gwoździem, pastorałem Sapiehy. Gdy w sercu Sirki, dawnego wachmistrza Legionów, zadrgał ból, śmiertelna wywołany zniewagą — najboleśniejszą, jaka ugodzić może w pierś żołnierza, wiernego imieniowi wodza — wtenczas koledzy-akademicy postanowili, jak jeden mąż, od bólu tej zniewagi się odgrodzić. Uchwalili w komplecie, że ból Sieroszewskiego był jego „prywatną" własnością, z którą nie chcą oni mieć nic wspólnego, i która nie może „plamić" czystego soboru literatury.

Sobór ten, wystawiając świadectwo swemu prezesowi, przez to samo wystawił je i sobie. Wyznał uroczyście, że lęka się w nim tego, co jest choćby przypomnieniem sybirskich szlaków wygnańczych, choćby odgłosem żywej prawdy bojów o niepodległość. Jeśli gotów jest w starym żołnierzu Piłsudskiego coś jeszcze respektować. to jedynie dygnitarza reżymu, kapitał uciułanych stosunków, ucieleśnioną wizję ciepłego kąta emerytury, wreszcie — last not least — żywą rękojmię stuzłotowych diet posiedzeniowych, wynagradzających panom akademikom trudy dla ojczyzny.

Karol Hubert Rostworowski odszedł z Akademii a nawet z hasłem trząsnął drzwiami za sobą: ale nie łudźmy się! Duch jego w Akademii pozostał i — triumfuje. Zatriumfował on w pokorze, z jaką panowie akademicy, aby ocalić swą „niewinność" wyparli się „grzechu" swego prezesa. Triumfować będzie i nadal w tej roli eunuchów, do której dali się sprowadzić ludzie pod tyloma względami godni lepszej, szlachetniejszej doli.

Wł. Kowalski

PONURA TRADYCJA

Walka reakcji ze szkołą, oświatą i nauczycielstwem ma w Polsce bogatą tradycję. Współcześni nam Xsiążęta ciemności prowadzący w bój przeciw postępowi armie wyćwiczonych w tym rzemiośle janczarów — biorą z przeszłości gotowe, wypróbowane już wzory. Nie przypadkiem wzorów tych dostarczają najbardziej ponure okresy naszych dziejów.

150 lat temu w chaosie szlachecko klerykalnej anarchii skupiło się wszystko, co najszlachetniejsze, aby ratować podlejącego coraz bardziej ducha narodu, ratować walący się gmach Rzeczypospolitej. Reforma szkolnictwa, wyzwolenie go z rąk jezuickich szarlatanów — było jedyną drogą moralnego odrodzenia. Powstała Komisja Edukacji Narodowej, która otworzyła najpiękniejszą kartę naszych dziejów, zapoczątkowała wielki wysiłek nad podniesieniem oświaty i kultury, nad wpojeniem w zanarchizowane umysły pierwszych prawd świadomości obywatelskiej.

Poczynania te jednak uznane zostały za niebezpieczne przez tych, którzy pasożytowali na zgangrenowanym organizmie narodu. Reakcja poczuła się zagrożona reformami Komisji Edukacyjnej i zmobilizowała przeciw niej wszystkie rozporządzalne siły i środki. Zagrzmiały ambony, zarechotała opanowana przez Jezuitów prasa. Rozpoczęło się nie przebierające w środkach zwalczanie działalności Komisji.

Zarzucano szkołom Kom. Ed. zwalczanie wiary, szerzenie „libertynizmu" (tyle co dziś komunizmu). Nauczycielstwo skupione w Kom. Ed. podlegało ciągłym prześladowaniom, judzono przeciwko niemu z ambon, dyskredytowano go w oczach uczniów, podburzano przeciwko niemu ludność. Utrudniano na wszelkie sposoby pracę — Kołłątajowi, np. kiedy reformował uniwersytet krakowski zrywano wszystkie ogłoszenia, jakie wywieszał. Piętnowano nauczycieli dwoma już wówczas skutecznymi słowami: libertyn i mason.

Judzona przez kler reakcyjna szlachta organizowała protesty przeciw „ateistycznej" szkole, z najdalszych zakątków kresowych, Ryczywołów i Berdyczowów płynęły do Warszawy „uchwały rodzicielskie" piętnujące działalność K. E., żądające oddania szkół w ręce Jezuitów. Aby uchronić młode dusze przed deprawacją, ogłosiła szlachta bojkot szkół. Wysyłała dzieci za granicę, na wschód, gdzie pod skrzydła Katarzyny schronili się Jezuici po kasacie, organizowała szkoły domowe, powierzając naukę ciemnym nie douczonym mnichom.

W czasie Sejmu Wielkiego szlachta pod wpływem agitacji Jezuitów występowała przeciwko Kom. Ed. i groziło niebezpieczeństwo przyjęcia przez sejm uchwały rozwiązującej Komisję. Nie dopuściła do tego ta mniejszość, która pół roku później uchwaliła Konstytucję Majową.

Powody tej zaciekłości są i dla dzisiejszego czytelnika zupełnie zrozumiałe. Instrukcje Kom. Ed. głosiły, że „wszyscy ludzie jako dzieci jednego Boga są braćmi". Czyż zdanie to nie demaskuje libertynów i masonów? Ustawy Komisji nakazywały: „Niechaj nauczyciel nigdy nie mówi w szkole, czego sam jasno nie rozumie" — oczywista, że podobne zdania może wygłaszać tylko bezbożnik.

Aż wreszcie zatryumfowała „sprawiedliwość". Zwyciężyła Targowica i zabrała się do oczyszczania Polski ze szkodliwych elementów. Kom. Edukacyjna została rozwiązana, nauczycielstwo rozpędzone i napiętnowane. Zwycięska reakcja ścigała najniewinniejsze objawy wolnomyślności — pisze Wł. Smoleński*). — Akcję swoją usprawiedliwiali targowiczanie między innymi zniewagą, jakiej podczas sejmu wielkiego doświadczyć miała od postępowców religia, moralność i duchowieństwo. Uniwersał targowicki z dn. 27 czerwca 1792 r. nazywał nauczycieli *buntownikami*, oskarżał ich o *uprawianie polityki*. „Gazeta Warszawska" z dn. 17 paźdz. tegoż roku pisała, że Konfederacja targowicka wraz z „wielką monarchinią" są mścicielami, których „święta Opatrzność wzbudziła na poskromienie swawoli filozoficznej". Narzędziem Opatrzności, które obroniło Polskę przed postępowym nauczycielstwem była Katarzyna/

Komisja Edukacyjna zeszła z widowni potępiona i zohydzona, aby wskrzesnąć w pamięci przyszłych pokoleń, w duszach szermierzy o wolność i niepodległość. Jej działalność potomni uznali za najcenniejszy dorobek w skarbcu kultury. Czy jest ktoś wśród wojującej reakcji, kto by *dziś* odważył się podjąć przeciwko niej oskarżenie?

W. K. BIEŃKOWSKI.

*) Por. Władysław Smoleński: Przewrót umysłowy XVIII w. w Polsce, oraz prace w „Ateneum" z r. 1889.

Z cyklu: O program gospodarczy demokracji polskiej

Zawsze spóźnieni: trzy złowrogie momenty w dziejach Polski

Nie tylko doświadczenia zagranicy, nie tylko tradycje poprzedników nakazują demokracji polskiej opracowanie programu gospodarczego, programu „wielkiej przebudowy". Nakazuje je przede wszystkim groźna, twarda, rzeczywistość codziennego życia polskiego. Padły niedawno z ust, nie podejrzanych chyba o sympatie radykalne, słowa o rozpaczliwym „prymitywie" naszym. Tego prymitywu nie zrodziły lata ostatnie. Ten prymityw to dziedzictwo wieków.

Dwa razy już w dziejach Polski ciasny, grupowy interes warstw uprzywilejowanych zaciążył złowrogo nad rozwojem naszego życia gospodarczego. Po raz trzeci próbuje skierować je na manowce marazmu i upadku teraz, w odrodzonym państwie.

1.

Raz — to było gdzieś na przełomie XV i XVI wieku. Mogła Polska wtedy iść drogą, którą poszedł Zachód, którą próbował jeszcze przedtym iść Kazimierz Wielki. Rozwinąć mocny, kupiecki i rękodzielniczy stan miejski w Polsce, otoczyć, bodaj w pewnym stopniu, opieką chłopa, oprzeć byt miast o rosnące spożycie wsi; stworzyć, w oparciu o miasta, nowoczesne — wówczas, w XVI wieku! — państwo dynastyczne. Opór szlachty polskiej był jedną z decydujących przyczyn, że stało się inaczej. Wtedy — w XVI i XVII wieku zobaczymy po raz pierwszy obraz, który nas będzie prześladował aż po dziś dzień. Wtedy po raz pierwszy Polska staje się agrarnym **Hinterlandem**, surowcowym zapleczem obcych

krajów, wtedy po raz pierwszy grupy posiadające Polski stają do czynnej walki z rozwojem gospodarczym własnego kraju.

Cukier polski karmi angielskie świnie, gdy tymczasem chłopskie dzieci na polskiej wsi nie znają nawet jego smaku. Za to baronowie naszego kartelu cukrowniczego wszech wyznań i narodowości tłumnie zaludniają „Juraty" i inne „Patrie" (jeśli nie wolą Riviery i Monte Carlo). **Tak jest dzisiaj.**

Zebrane pracą głodnego chłopa pańszczyźnianego polskie zboże i pszenica płynęły na Zachód, by karmić mnogotysięczne rzesze rzemieślnicze rozwijających się, kwitnących miast Flandrii i Anglii. Za to w Polsce obrastały zamożnością dwory ziemiańskie, pyszniły się przepychem i szaleńczą rozrzutnością rezydencje magnackie. **Tak było wtedy.** Zmieniły się od tego czasu nazwy, zmieniły stroje, zmieniły określenia prawne. **Treść, rujnowanie, uwstecznianie rozwoju gospodarczego kraju w imię interesów drobnej znikomej mniejszości, pozostała ta sama.**

2.

Po raz drugi — to było za Sejmu Czteroletniego. Można było wtedy nadrobić zaniedbania przeszłości. Nie mówimy tu o stronie politycznej. Chodzi nam o zagadnienia gospodarcze. Można było zdecydowaną ręką wysunąć miasta na czoło, można było zamienić chłopa na wolnego, władającego ziemią, którą uprawiał obywatela. Byłoby to nie tylko uratowało kraj przed rozbiorem. Byłoby to stworzyło nową strukturę gospodarczą Polski, strukturę — wtedy, u schyłku XVIII wieku! — najbardziej postępową, jaka być mogła. Umożliwiłoby nowy, szybki rozwój gospodarczy. Reformatorzy Sejmu Czteroletniego woleli pójść inną drogą. Woleli — lękliwie zresztą i ostrożnie — wejść na tory, którymi trzeba było iść wiek temu wstecz! Jeśli odrzucimy słowa i terminologię, cóż zostanie z konstytucji Trzeciego Maja? Wzmocnienie aparatu państwowego, dynastia, ograniczenie (bardzo ostrożne) praw szlachty w państwie przy zachowaniu jej praw nad chłopami, pewne (nieznaczne) ulgi dla mieszczan, pewna, raczej teoretyczna, opieka prawa nad pozostawionym w poddaństwie chłopem. Czyja to polityka? To polityka, niekoniecznie nawet oświeconego już, absolutyzmu, Polityka pruskich Fryderyków, Ludwików francuskich, Józefów austriackich. Polityka niewątpliwie mająca pozytywne znaczenie, niewątpliwie postępowa — ale we właściwym czasie, a więc wtedy może, kiedy Polska zapadała w sen czasów saskich. Odgrzewanie jej w chwili, kiedy na horyzoncie europejskim nie świecił już łagodny (dla szlacheckiej nad chłopem władzy) Ludwik XIV „król — słońce", lecz łuna Wielkiej Rewolucji — było nieporozumieniem nie tylko politycznym ale i gospodarczym. O wiele bardziej stanowczych kroków wymagała już dla swego uzdrowienia budowa gospodarcza Polski. „Nieporozumienie" to wynikło — rzecz jasna — z klasowego interesu szlachty, z „kosookiego strachu", który ją ogarniał na myśl o utracie pańszczyzny, daremszczyzn, propinacji i kilkudziesięciu jeszcze tytułów prawnych do darcia chłopskiej skóry.

Powtórzyła sę historia sprzed dwóch wieków. **Klasowy interes szlachty, klasowy interes klas posiadających sprawił, że pozotał w Polsce nienaruszony, przestarzały ustrój społeczny, przestarzała struktura gospodarcza.**

Potwierdziła się raz jeszcze stara prawda historyczna, że zaniedbania, wynikłe z klasowej polityki warstwy panującej jednej epoki, może kraj nadrabiać tylko pod kierownictwem nowych, młodych warstw społecznych, wyniesionych do władzy własną prężnością i siłą. **Za klasową ograniczoność szlacheckich reformatorów zapłaciła swym upadkiem szlachecka Rzeczypospolita.**

3.

Lata zaborów spotęgowały jeszcze zacofanie gospodarcze kraju. Oczywista, rozwój gospodarczy nie zatrzymał się przed granicami Polski. I u nas przyszedł kapitalizm. I u nas wyrosły fabryki i kopalnie, fabryczne miasta i robotnicze przedmieścia. Ale chuderlawy, kulejący od urodzena był ten nasz polski kapitalizm. Byliśmy dostawcami surowca i siły roboczej, rynkiem zbytu i terenem ekspansji dla Berlina, Wiednia, Moskwy nawet. Cały nasz organizm gospodarczy uzależniony był od mocarstw zaborczych. Niedorozwinięty, ograniczony do pewnych tylko, zwłaszcza surowcowych działów produkcji, był nasz przemysł nikły; ciasny był nasz rynek wewnętrzny, słabo tylko rozwijały się u nas procesy kapitalizacji i rozwoju warstwy przedsiębiorców przemysłowych. **Niesharmonizowanie struktury gospodarczej, luki w produkcji, ciasnota rynku wewnętrznego, brak kapitałów oto dziedzictwo, które nam pozostało po szlacheckiej gospodarce dawnej Rzeczypospolitej i po rządach zaborców.**

A gdy przyszedł czas, kiedy można było to wszystko zmienić, kiedy można było zabrać się do nadrabiania zaległości trzech ostatnich wieków — wtedy dokonana została dywersja trzecia, już nie wyłącznie szlachecka, ale ziemiańsko-wielko-kapitalistyczna. Wtedy po raz trzeci egoizm warstw uprzywilejowanych skierował życie gospodarcze kraju na manowce, na których czekać je może tylko upadek i marazm.

Fakt podstawowy: kiedy w r. 1918 odradzało się państwo polskie, kapitalizm w Polsce, tak samo jak w przeważnej części Europy, wszedł już był w schyłkowy, monopolistyczny okres swego rozwoju. Ten fakt zadecydował o losie gospodarczym Polski w ostatnim dwudziestoleciu.

W epoce poprzedniej, na całej przestrzeni od rozbiorów po r. 1905, kapitalizm był „ostatnim krzykiem" gospodarczej mody. Oczywista, byli już i wtedy socjaliści. Ale historyczna rola kapitalizmu nie była jeszcze skończona. Kapitalizm był samolubnie zapatrzony w swe zyski — to prawda. Ale jednocześnie wyczarowywał spod ziemi nowe milionowe miasta fabryczne, odkrywał, uprzystępniał nieznane niemal dotąd kraje, niósł nowe tempo i nowe życie w najbardziej zaspane kąty, skupiał, budził milionowe rzesze, drzemiące wczoraj jeszcze gdzieś po opłotkach prowincji. Był potężnym, najpotężniejszym twórcą nowej techniki, nowych form życia, nowej organizacji ludzkości w walce z przyrodą. Ale był to właśnie dawny kapitalizm, kapitalizm postępowy, kapitalizm wolnej konkurencji. Kapitalizm, który po wojnie światowej skończył się — bezpowrotnie.

Na jego miejsce przyszedł kapitalizm nowy, kapitalizm monopolistyczny, kapitalizm finansowego kapitału. **Temu kapitalizmowi na imię kartel i trust.** Sztandar jego to nie wzrost produkcji i obrotów, ale

sztuczny, dobrze obwarowany cłami ochronnymi wzrost cen. Swych zysków szuka nie w rozbudowie przemysłu ale w lichwie monopolowej, w haraczu, ściąganym ponad normalną, kapitalistyczną miarę z szerokich mas spożywców. Nie buduje on fabryk — zamyka je za sutem postojowem. Nie goni za nowymi wynalazkami — wykupuje je i chowa gdzieś głęboko w swych kasach i sefach. Nie wynalazcy, nie organizatorzy produkcji, nie „kapitanowie przemysłu" są jego czołowymi ludźmi, ale fachowcy finansowych kombinacyj, znawcy zakamarków giełdowych, bywalcy ministerialnych przedpokojów. Chroni się pod skrzydła kleru, żeni i spowinowaca ze starymi rodami feudalnymi, potomkami arystokracji, którą ongi zdetronizowali jego wolno-konkurencyjni praojcowie.

Z narzędzia rozwoju sił produkcyjnych, z potężnej dźwigni postępu historycznego stał się zaporą dalszego rozwoju gospodarczego, stał się elementem zacofania i zastoju. Książę Radziwiłł, ordynat i magnat feudalny, jako prezes wielko-kapitalistycznego Lewiatana i baron kartelowy, p. Falter, jako dziedzic na staro-szlacheckiej rezydencji w Żydowie — oto najlepsze, żywe symbole tego nowego, już czysto pasożytniczego kapitału.

***

Nie zdawała sobie sprawy z tych przemian polska opinia publiczna. Nim przemiany gospodarcze dochodzą do świadomości opinii, musi zawsze upłynąć pewien okres czasu. Jakże długi staje się ten okres wtenczas, gdy potężne siły, mające w tym swój bezpośredni interes, pracują nad tym, by ow proces uświadomienia opóźnić. Polska odrodzona bała się „eksperymentów". Ten strach wyzyskały „sfery gospodarcze", wykazał go kapitał finansowy. Przecież — argumentowano — Anglia, Francja, Ameryka rozwinęły się spokojnie, pod opieką „sfer gospodarczych", w czołowe mocarstwa świata. Tak przynajmniej zapewniała prasa tych „sfer gospodarczych" i w to wierzył święcie przeciętny inteligent polski; — zapomniał nieborak, że niebardzo tak to bywało spokojnie i „gospodarczo" za Robespierre'a i Cromwella, za Washingtona i Dantona. Czy nie należało i w Polsce, zachodnim wzorem, bez wszelkich „eksperymentów" złożyć odbudowę gospodarczą kraju w wypróbowane ręce tych właśnie „sfer gospodarczych"? Tak samo rozumowali niegdyś mężowie Sejmu Czteroletniego, biorąc Stanisława Augusta za polskie wydanie Ludwika XIV. Znowu wzięliśmy się do odgrzewania wczorajszego postępu. Polska odrodzona powierzyła kierownictwo swego życia gospodarczego żywiołom strupieszałym. Myślała, że oddaje je polskim Marconim, Siemensom, Fordom. Niestety, oddała je — bo tylko im mogła je oddać — Wierzbickim i Falterom. Dzięki ich pomocy ocalały fortuny obszarnicze. W przemyśle objęły władzę kartele, syndykaty i koncerny. Skutki, nieuniknione skutki, widzimy i odczuwamy dziś wszyscy.

Z dnia na dzień

KLUB DEMOKRATYCZNY.

Pod przewodnictwem senatora prof. Michałowicza i senatorki Fleszarowej, przy licznym i ważkim udziale ludzi dobrej woli i wybitnych kwalifikacyj intelektualnych, zawiązał się w Warszawie Klub Demokratyczny.

Jest-to organizacja, powołana do skupienia inteligencji pracującej; tej inteligencji, która pałki i żegadła zbójeckiego nie uważa za ostateczny argument w sporach ideologicznych; która nie rezygnuje z użytku głowy w budowaniu potęgi Rzeczypospolitej; która rozumie, że prądy nacjonalistyczne lub gwałty totalizmu nie są drogą do konsolidowania Polski.

Podstawą wytyczną Klubu Demokratycznego jest przeświadczenie o konieczności ścisłej współpracy z wielkimi ruchami masowymi, zorganizowanymi z jednej strony w Polskiej Partii Socjalistycznej, z drugiej — w Stronnictwie Ludowym.

Niepodległość Polski wyrosła z krwi i trudu inteligencji, robotnika i chłopa. I tylko zespolenie dążeń tych trzech żywiołów, niosących w sobie przyszłość narodu, może dać Państwu Polskiemu siłę i obronność, zapewnić postęp i kulturę.

„DUSZE SPLUGAWIONE W NIEWOLI".

W trzecim dniu obrad V-ego zjazdu Związku Nauczycielstwa Polskiego, dn. 10 września 1923 r. zjawił się Józef Piłsudski, powitany przez zebranych owacyjnie. Marszałek wygłosił wówczas przemówienie, które obecnie w 1937 r., z rozporządzenia prokuratora we Lwowie uległo konfiskacie, przez sąd jednak tamtejszy niezatwierdzonej.

Oto tekst tego pamiętnego przemówienia:

„Szanowne Panie i Szanowni Panowie! Dziękuję za to serdeczne przyjęcie i za te gorące i szczere słowa, z którymi w imieniu Waszym zwrócił się do mnie Wasz przewodniczący. Stanęliście do pracy odrodzenia w odrodzonej ojczyźnie, aby odrodzić dusze ludzkie, które się w niewoli splugawiły i znikczemniały. Odrodzić dusze ludzkie, zmienić człowieka, zrobić go lepszym, wyższym, potężniejszym i silniejszym — oto Wasze zadanie. Obok pracy wojskowej, która byt nasz utrwaliła krwią wylaną, jesteście tymi, którzy w odrodzeniu Polski i człowieka macie największe prawo do zasługi. Życie Wasze płynie w tej samej ciężkiej pracy, w jakiej płynęło życie żołnierskie. Życzyć Wam jedynie mogę, dziękując za to przyjęcie, abyście w tej pracy mieli powodzenie i odczuwali płynące z niej szczęście; aby te dzieci, co przez Wasze nauczycielskie ręce przechodzą, o was tak serdecznie wspominały, jak chcecie łaskawie o mnie i o mojej pracy wspominać".

Ta manifestacja uczuć i uznania Józefa Piłsudskiego dla Związku Nauczycielstwa nie była przypadkowa, lecz głęboko umotywowana.

W owym roku 1923 zgórowała fala endecka i Józef Piłsudski wycofał się z życia państwowego, ponieważ nie chciał zasiadać w rządzie razem z reprezentantami stronnictw, które według jego słów „były obciążone moralną odpowiedzialnością za zabójstwo Prezydenta Narutowicza", a patrząc w przyszłość, nie chciał, iżby historycy — jak się publicznie wyraził — „w twarz mi napluli, gdybym razem z potwornymi karłami, którzy mnie obniżyć chcieli — pracował".

Endecja, usiłując odosobnić i wyobcować Piłsudskiego, wznosiła wówczas mściwą rękę, aby zamknąć mu usta, posunąwszy się później do konfiskowania jego publikacji.

Rozpoznawszy w nauczycielstwie zaród nowego życia i siłę duchową, która odrodzi dusze „splugawione i znikczemniałe w niewoli", Piłsudski uznał za konieczne wesprzeć moralnie gromadę

nauczycielską i dać publiczny wyraz swojej solidarności z postawą społeczną Związku Nauczycielstwa, opierającego się wówczas wrogim zakusom endeckiego ministerstwa oświaty.

Ten sam żywioł mroku i fanatyzmu próbuje obecnie opanować życie polskie, godząc znów przede wszystkim w nauczycielstwo, jako siłę, która ma „zmienić człowieka, zrobić go lepszym, wyższym i potężniejszym".

I nikt nie wątpi, że ta sama ręka niewiadomszczyzny, która w 1923 chciała zamknąć usta Piłsudskiemu za życia, próbuje to dziś uczynić po jego śmierci. Czyha tylko na odpowiednią chwilę, czeka aż głębiej noc zapadnie w ojczyźnie.

NIENAWIŚĆ DO WOLNEGO CZŁOWIEKA.

Profesor U. J. P., M. Michałowicz, który ani w audytorium ani w klinice chorób dziecięcych nie dopuścił do podziału miejsc, odpowiedział na pytanie prezesa Koła Studentów Medyków w sposób następujący:

„Od pewnego czasu spodziewałem się zainterpelowania mnie w tej sprawie.

Wolno Jego Magnificencji Panu Rektorowi, jako wybranemu przez nas, profesorów, gospodarzowi, mieć w tej sprawie swoje zdanie. Ale wolno też senatorowi Rzplitej, który przysięgał na konstytucję, przestrzegać przepisów.

Skoro Pan Bóg nie wahał się włożyć duszy Swego Syna w ciało Semity, to nie jest ludzką rzeczą rozstrzygać, kto jest lepszy, a kto gorszy.

Wiem, że semici są nieszczęśliwi, jak roślina, pozbawiona swego naturalnego podłoża, ziemi, rzucona przy drodze. Wierzę, że w Palestynie, gdzie teraz pali się ziemia pod nogami i krwią trzeba ją okupywać, nastąpi ich odrodzenie. Póki konstytucja nie jest obalona, to ja nie będę jej obalał.

Mówię to, jako wierny obywatel Państwa i w sumieniu swoim chcę zostać wiernym chrześcijaninem".

Oświadczenie to postawiło na nogi całą ciemnogrodzką prasę, która na dany sygnał i na całej linii naganki zaczęła lżyć prof. M. Michałowicza.

Położenie, w którym znalazł się prof. Michałowicz przypomina żywo los tych nieustraszonych podróżników - uczonych, którzy znagła osaczeni bywali przez plemię kanibalów. Szli jednak naprzód, przeciskając się przez tłuszczę, która wśród pląsów, wrzasków i wycia groźnie potrząsała dzidami, manifestując w ten sposób swoją nienawiść do białego człowieka.

PROSZĘ SIĘ NIE ŚMIAĆ!

Obóz demokracji pozyskał nowego szermierza: jest nim — tylko proszę się nie śmiać! — *Czas*, organ Radziwiłłów i Sapiehów.

Rozwiązanie Zarządu Z. N. P., postępujące naprzód obostrzenia cenzuralne oraz pewne niedwuznaczne oznaki pokrewne, zgodnie wskazujące na to, że zakres opieki policyjnej, sprawowanej nad obywatelem przez państwo, wzrasta z dnia na dzień, zaniepokoiły nawet opasły organ konserwy obszarniczej. *Czas* wystąpił z głośnym lamentem na cenzurę; co więcej, uderzył na trwogę, wołając: „Staczamy się ku totalizmowi!"

Alarmy te są, niewątpliwie, uzasadnione. Ale czy „Czas" nie skarży się na to, co do niedawna sam popierał? Wszak on to właśnie był jednym z pierwszych wynalazców tej perfidnej taktyki, która interesu ziemiaństwa i finansiery broniła w ten sposób, że każdego, ktokolwiek grupom tym się przeciwstawił (choćby to był minister urzędującego gabinetu, np. Poniatowski) zaliczała do „wrogów państwa" i „komunistów". Z wykwintnej skarbnicy „Czasu" metodę tę przejęli następnie inni. Przejęli i — udoskonalili na użytek faszyzmu.

Bo założeniem faszyzmu jest wyniesienie interesu grup uprzywilejowanych i pasożytniczych do rangi dobra wszechnarodowego i ogólnopaństwowego, z uszczerbkiem dla doli warstw pracowniczych.

FARYZEUSZE.

Dlaczego — spyta ktoś — organ konserwy obszarniczej odżegnywa się dzisiaj od tego, co apostołował wczoraj?

Oto dlatego, że, wobec skupiania się olbrzymiej większości społeczeństwa pod sztandarem demokracji, przestał wierzyć w powodzenie eksperymentu faszystowskiego w Polsce. Tyrania totalizmu — zreflektowali się rzecznicy wielkich dochodów i magnackich majątków — może kraj nasz ominąć: a wtenczas — co? Wtenczas zasłużone i srogie odium społeczne nie ominie tych, którzy owej tyranii sprzyjali, przede wszystkim zaś odbije się dotkliwie na ich fortunach. I stąd desperackie wysiłki tych panów, aby to odium od siebie odsunąć i umyć ręce w wodzie piłatowej, dopóki pora.

A może jednak totalizm, choćby na krótko, zawita do Polski w gościnę? — pukają palcem o palec redaktorzy „*Czasu*", starając się odgadnąć przyszłość.

Niestety: w takich warunkach, w jakich ustrój totalny mógłby przyjść do Polski, nie cieszy on serca Radziwiłłów.. Bo przyjść mógłby jedynie poprzez opór i walkę ze społeczeństwem, a koszta tej walki zapłaciliby — któż jeśli nie właściciele obszarów dworskich?

I tak źle — myślą sobie — i tak nie dobrze. Jeszcze wczoraj, z dwojga złego wybierali — faszyzm. Dziś — wybrali demokrację...

Faryzeusze!..

POD CIĘŻAREM WYROKU

Głośny amator hitleryzmu w Polsce, redaktor *Słowa*, Mackiewicz doczekał się wreszcie oceny, na którą oddawna zasługiwał.

Wypisał mu ją publicznie Sąd Apelacyjny w Warszawie wyrokiem, który wszyscy ludzie uczciwi powitają z ulgą i satysfakcją w nadziei, że położy on kres rozbrykanej działalności wileńskiego redaktora.

Za zniesławienie wojewody Grażyńskiego Mackiewicz skazany został na dwa miesiące aresztu. Nie ta jednakże kara, sama przez się dotkliwa, ale motywy, które ją uzasadniają, stały się ciosem moralnym, dla skazanego. Oto niektóre z nich (p. „Kur. Por." 28.X.):

„Mackiewicz swą działalnością wyrządzał krzywdę interesom Państwa"...

„Pod pokrywką dbałości o interesy przemysłu i mniejszości niemieckiej na Górnym Śląsku Mackiewicz dawał argumenty obcym państwom przeciwko Polsce"...

„Mackiewicz posiada charakter obłudny i niepohamowany".

Poza tym, niepohamowany obłudnik dobił się sam pociesznym kłamstwem, popełnionym już w toku rozprawy sądowej. Oto, w pewnej chwili, prokurator stawił pytanie, czy Mackiewicz ma dwa imiona i czy używane przezeń imię „Stanisław" jest pierwsze.

— Tak! — odpowiada pytany.

Wtenczas prokurator przedkłada Sądowi akt ślubu, z którego widać, że jednak pierwsze imię Mackiewicza brzmi nie Stanisław lecz Łazarz.

W zasadzie — wyjaśnia oskarżyciel publiczny — w każdym innym procesie byłoby to bez znaczenia, w tym jednak demaskuje osobę oskarżonego, który innym (wojewodzie Grażyńskiemu) zarzuca ukrywanie się pod nowym nazwiskiem, a sam zataja własne imię.

Ten to obłudny Łazarz, wyrządzający krzywdę interesom Polski i niepohamowanie szarpiący dobrę imię każdego, kto nie dzieli jego nabożeństwa dla hitleryzmu i prusactwa, uchodził do niedawna za czołowego publicystę akcji katolickiej i konserwy obszarniczej.

Rodzi się pytanie: czyżby ci, którzy z usług jego pióra korzystali, byli aż tak niewybredni, że przymknęli oko na to, z jakim mają do czynienia ptaszkiem? Jeśli zgrzeszyli naiwnością, to grzech tej naiwności jest tym cięższy, że oddawna nie brakło głosów ostrzegawczych—które działalność Mackiewicza przedstawiały we właściwym świetle, piętnując jego metody:

ALEJA ZWIĄZKU NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO.

Radość obrzędów ponurej reakcji, usiłującej od paru lat zaszczuć nauczycielstwo demokratyczne, przemógł głos o szlachetnym brzmieniu, dobiegający z krańca Polski. Oto Rada Miejska Augustowa powzięła jednogłośnie uchwałę następującą:

„Ze względu na zasługi, jakie Związek Nauczycielstwa Polskiego położył dla miasta i miejscowego społeczeństwa, a to przez: 1) uruchomienie kursów nauczycielskich, 2) stałą i wytężoną pracę członków Związku w samorządzie miejskim, w licznych komisjach i instytucjach społecznych, 3) bezinteresowne opracowanie pięknego przewodnika po Poiezierzu Augusotwsko-Suwalskim, 4) uruchomienie i utrzymanie Biblioteki Publicznej *z własnych funduszów* dla dobra szerokich warstw, 5) organizowanie i prowadzenie licznych kursów dla analfabetów i kursów dokształcających, 6) szerzenie idei współdzielczości, organizowanie licznych obchodów rocznic narodowych, 7) pracę w organizacjach przysposobienia wojskowego, 8) wspomaganie akcji na rzecz pomocy bezrobotnym, Rada Miejska postanawia: ulicę w nowopowstającej dzielnicy od nowego mostu do gmachu Gimnazjum Państwowego nazwać *Aleją Związku Nauczycielstwa Polskiego*".

Ten żywy i piękny pomnik, zawarty w uchwale wdzięcznego miasta, świadczy, że siew kultury, szerzonej przez nauczycielstwo, nie poszedł na marne.

DWA WARIANTY JEDNEJ GRY.

Jedną ze specjalności młodej endecji — w odróżnieniu od endeków starego profesorskiego typu — jest jej skłonność do socjalnej demagogii, szumnie przez nią nazywanej „antykapitalizmem".

„Jesteśmy „polskimi hitlerowcami" — pisze np. „A. B. C." z 6.X. — jeśli kto chce tak nazywać ruch ideowy głoszacy śmiało, że prawdziwy nacjonalizm i dążenie do wielkości narodu połączone być musi koniecznie z odważnym i konsekwentnym programem reform społecznych". A teraz popatrzmy na praktykę. W Pabianicach toczą sie pertraktacje o sprzedaż Zakładów Kindlerowskich, należących częściowo do B. G. K. Jako kandydat na nabywcę występuje grupa żydowskich kapitalistów Eitingonów. Od „Gońca" poprzez „ABC" aż do „Jutra Pracy" idzie kampania przeciw „potworowi kapitalistycznemu", który chce pożreć zakłady pabianickie. Wysuwa się wiele *słusznych* zarzutów, charakteryzuje się *wcale nieźle* gospodarkę Ejtingonów (nie różną bynajmniej od gospodarki innych, żydowskich i nie-żydowskich magnatów włókienniczych). P. poseł Budzyński pisze list otwarty do p. wice-premiera. Idą w ruch interwencje wybitnych osobistości politycznych, zabiera głos — jeśli wierzyć „Jutru Pracy" — pewna organizacja polityczna, w skali miejskiej, wojewódzkiej i nawet centralnej, uruchamia się nawet Radę Miejską w Pabianicach. Nacisk skutkuje. „Jutro Pracy", „Goniec" i „ABC" triumfalnie otrębują swe zwycięstwo. Ejtingon nie kupił Kindlera.

Słusznie. Nie należało mu go sprzedać. Wiemy z doświadczenia, że przy wszelkiej „prywatyzacji" należących do Państwa przedsiębiorstw traci Państwo, a więc ogół podatników, tracą pracownicy, a zarabia tylko ten jeden, kto kupuje „prywatyzowane" przedsiębiorstwo. Ale co stało się z zakładami kindlerowskimi? Mimo wszystko zostały sprzedane. Kupił je tylko — ktoś inny.

„Zakłady Kindlera nabył chrześcijanin" — głosi radośnie „ABC". Zwróćcie uwagę: nie pisze: Polak. Bo ten nowonabywca to S. A. Karola Eiserta. Nie łatwo tak odrazu zaawansować go na Polaka. Dopiero w tekście znajdziemy uwagę: „P. Karol Eisert pochodzi z niemieckiej rodziny, spolszczonej dziś zupełnie". Spolszczonej? Trudno orientować się w przynależności narodowej fabrykantów łódzkich. Jest to zresztą dla nas obojętne. Ważniejsze jest to, że Spółka Akcyjna Karol Eisert, to bynajmniej nie tylko sam p. Eisert. To *zjednoczone rody Eisertów, Kindermannów, Kröningów i Milkerów, władające lub spółwładające siedmioma wielkimi spółkami akcyjnymi w przemyśle włókienniczym (łączny kapitał akcyjny 36 mil. 900 tys. zł.), ponadto zaś wielką fabryką metalową J. John w Łodzi i wielką, zatrudniającą 700 robotników bekoniarnią w Gnieźnie.* Potworek kapitalistyczny, mówiąc językiem „ABC" zupełnie niezgorszy, w niczym nie ustępujący posiadłościom w Polsce szlachetnego rodu Ejtingonów. Przynależność narodowa zjednoczonych rodów Kindermannów, Eisertów i t. d. da się również o wiele łatwiej stwierdzić, niż indywidualna przynależność narodowa p. Karola Eiserta. Każdy w Łodzi wie, że te rodziny to nie *byli* Niemcy, a *aktualni*, konkretniej jeszcze niemieccy hitlerowcy. Jeden z tych rodów, Milkerowie to nawet współwłaściciele zglaichszaltowanego organu niemieckiego *„Neue Lodzer Zeitung"* w Łodzi (porównaj „Rocznik Polskiego Przemysłu, Handlu i Finansów" za r. 1937, poz. 9713).

Tak więc w wyniku „narodowej" i „antykapitalistycznej" kampanii zakłady Kindlera przejął... niemiecki, hitlerowski potworek kapitalistyczny.

W kampanii ejtingonowskiej wysuwany był bardzo mocno moment warunków sprzedaży. „Goniec", „ABC" i „Jutro Pracy" starały się udowodnić cyframi, że warunki te są niesłychanie korzystne dla Ejtingonów. „Jutro Pracy" w wyniku swych obliczeń doszło do następującego wniosku: *„Kto otrzyma prawo kupna Kindlera, właściwie otrzymuje kolosalny majątek za darmo, za nic, w prezencie... Nowonabywca nie angażuje ani grosza, a otrzymuje zabudowania i całkowite urządzenia fabryczne darmo".* Zdaje się — nie mamy możności skontrolowania tych cyfr gruntownie — że dane „Jutra Pracy" były nieco za niskie. Toteż słowa „za darmo" są zdaniem naszym niezupełnie ścisłe. Zupełnie ścisłe będą jednak słowa: „niemal za darmo, za dziesiątą część rzeczywistej wartości".

Zdaniem panów z młodo - endeckiej prasy było źle kiedy p. Naum Ejtingon miał dostać zakłady, należące częściowo do państwa, a więc stanowiące własność nas wszystkich, wszystkich płacących podatki „za darmo, za nic, w prezencie". Ale jest dobrze, kiedy te same zakłady, tak samo „za darmo, za nic, w prezencie" dostają pp. Eiserty, Kindermannowie, Kröningowie i Milkery, filary hitleryzmu. Wtedy jest to ich zdaniem wielkie „narodowe" i „antykapitalistyczne" zwycięstwo.

Naszym zdaniem sprawa przedstawia się inaczej. Naszym zdaniem, kosztem tego, co zostało nabyte z podatków płaconych przez nas wszystkich nie wolno robić prezentów nikomu, bez względu na to, czy go ochrzczono kropidłem czy scyzorykiem. Naszym zdaniem dość już było prezentów dla Ejtingonów, Eisertów, Boussaków. Prezenty te — a można by tu wyliczyć ich sporo, bezpośrednich, i częściej jeszcze, pośrednich, zamaskowanych — przyczyniły się w poważnym stopniu do obecnego stanu naszego życia gospodarczego. Za te prezenty płacimy wszyscy, bo wszyscy płacimy podatki. Z tymi prezentami czas skończyć.

I czas skończyć z czymś jeszcze: robienia z ordynarnej, pospolitej kłótni dwóch klik wielko - kapitalistycznych o „prezenty", ściągane z nas wszystkich — jakiejś walki ideowej o interesy narodu czy społeczeństwa.

Od wydawnictwa

Prosimy o nadesłanie przedpłaty za kwartał IV-ty

Wincenty Rzymowski

Dożynki Warszawskie 1937 r.*)

DĄBROWSKA

PRÓŻNO RWIE PĘTA.
ŻYJE ZAMKNIĘTA
W NIECHCICÓW RODZINIE.
RZEKŁBYŚ: ZAKLĘTA
PERŁA W BURSZTYNIE.

TUWIM

SZCZERYCH POETÓW W POLSCE JEST DOLA JEDNAKA:
CZYHAJĄ NA BOGA — SPOTYKAJĄ ROBAKA.

GOETEL

HEROLD WIELKIEJ EMIGRACJI:
OD ENDECJI — DO SANACJI.

WACŁAW MAKOWSKI

EX OFFICIO WYKŁADA, EX CATHEDRA UCZY,
JAK SKROIĆ ŚWIEŻY PROGRAM ZE STAREJ ONUCZY.

SKOCZYŃSKI

Z TYCH, CO TO: „ZAWSZE GÓRĄ NASI"
Z TYCH, KTÓRYCH NIESIE FALA.
WIĘC, GDY TRZEBA PŁOMYK GASI,
KOMU TRZA, KADZIDŁO ZAPALA.

A GDY TRZEBA SWE FASONY
PRZYKROIĆ DO KONIUNKTURY,
GOTÓW WSZYSTKO ZMIENIAĆ Z GÓRY:
OD RĘKAWICZEK — DO ŻONY.

A. K., B. L., C. M. ITD.

SMĘTNY RODZAJ GOŁODUPCA:
CHCIAŁBY SIĘ SPRZEDAĆ — NIE ZNAJDUJE KUPCA.

BUREK

DO SWEGO KURNIKA NA WYSOKĄ GRZĘDĘ
WABIŁ GO PIASECKI PONĘTAMI N. D.
LECZ BUREK POMKNĄŁ SWĄ DROGĄ PRZEZ WIEŚ
I BURKNĄŁ TYLKO: „TWÓJ KURNIK MAM GDZIEŚ".

HEMAR

WSZYSTKICH, CO WYKUPIĄ BILET,
BUJA ŚMIECHEM W KABARECIE,
ALE WDZIĘCZNIE, ALE MILE:
BO GOŚĆ ZA TO PŁACI PRZECIE.

GODZĄC W SŁABOSTKI BURŻUJA
SŁODKO ŁECHCE GO PO BRZUCHU:
DZIĘKI NIEMU KAŻDA SZUJA,
ŚMIEJĄC SIĘ, ROŚNIE NA DUCHU.

IRZYKOWSKI

DO AKADEMII LEWĄ WSTĄPIŁ NOGĄ,
LECZ DZIŚ WAWRZYNÓW UPOJONY DROGĄ,
PRZEZORNIE CZUJNY NA SWĄ NOWĄ SŁAWĘ,
PRZYSIĘGA, ŻE MA OBIE NOGI — PRAWE.

ST. PIASECKI

PO KĄDZIELI WZIĄŁ NIESMAK DO WŁASNEJ POSTACI,
STRASZĄ GO PO NOCACH ŻYDZI-ANTENACI.
ILEKROĆ SPOJRZY W LUSTRO, WŚCIEKA SIĘ PO PROSTU,
TAK JĄTRZY GO W NIM WSZYSTKO — OD PIĘT DO ZAROSTU.
PSIAKREW! ŻEBY NA WIDOK SWEJ WŁASNEJ OSOBY
DOSTAWAĆ MORSKIEJ CHOROBY!...

O! NOSIĆ W SOBIE ŻYDA I NIE MÓC GO STRAWIĆ...
MLEĆ GO, ŻREĆ GO, NIENAWIDZIEĆ,
TĄ NIENAWIŚCIĄ SIĘ DŁAWIĆ,
A PO TYM SPOJRZEĆ NA SWÓJ NOS I WIDZIEĆ,
JAK W TWOIM WŁASNYM TRYUMFUJE NOSIE...
O — LOSIE!

GDY TAK SAM W SOBIE NIEUSTANNIE GRZEBIE,
NARAZ Z TĘSKNOTĄ WESTCHNIE NIEKŁAMANĄ:
O, CZEMU, CZEMU CZŁEKOWI NIE DANO
TAK PROSTO Z MOSTU ZWYMIOTOWAĆ SIEBIE?

*) Poprzednie serie „Dożynków" w n-rach 17, 18, 19, 20.

Dokąd idziemy?

Staropolszczyzna i inne języki słowiańskie znają wyraz *pogrom* ze znaczeniem „porażka, klęska". I darmo byśmy szukali innego znaczenia tego wyrazu w Lindem. Nawet w Słowniku Wileńskim z roku 1861 innego znaczenia nie znajdziemy. A wszak dziś w tym znaczeniu wyrazu tego w życiu codziennym omal wcale nie używamy. Dziś, i nie od dziś, lecz od końca XIX wieku używany jest omal wyłącznie w znaczeniu innym, mianowicie: *Judenhetze*, pogrom żydowski...

I w tym to znaczeniu wyraz ten to nie zmiana znaczenia wyrazu dawnego; to zapożyczenie ze Wschodu, z Rosji. W tym też tylko znaczeniu wyraz ten jest znany i w innych językach zachodnioeuropejskich, np. w niemieckim lub francuskim, jako zapożyczenie z rosyjskiego.

To też słusznie Encyklopedia Trzaski, Ewerta i Michalskiego pod wyrazem *pogrom* podaje dwa rozgraniczone znaczenia: 1) „rozbicie przeciwnika wojennego" i 2) „masowe rzezie i grabieże, np. wzajemne tępienie się ormiańsko-tatarskie w Turcji, pogrom Żydów w Kiszyniowie w 1905-6 itp.".

Szkoda tylko, że nie podano, iż pierwszy wyraz w języku polskim jest bezpośrednią kontynuacją wyrazu tradycyjnego, drugi zaś — zapożyczeniem z języka sąsiada wschodniego.

Zapożyczyliśmy go więc, razem z owym specyficznym znaczeniem. Od paru zaś lat... ilustrować możemy jego treść własnymi polskimi przykładami... W nowym wydaniu Encyklopedii trzeba będzie przytoczone przykłady z kultury obcej (Turcja, Rosja) zamienić własnymi (Brześć, Częstochowa itd.)...

***

Wiadomo: czasy się zmieniają...

W roku 1858 wyjechał był nasz wielki pisarz, który nauczył był Polaków czytać po polsku, J. I. Kraszewski, za granicę. Zwiedził Włochy, Francję, Niemcy, a to co widział, opisał w swych dwutomowych „Kartkach z podróży".

Oto jedna z tych kartek (podkreślenia moje):

„Szliśmy na Ghetto (w Rzymie)... Chcieliśmy spojrzeć na ten zabytek średniowieczny. Nie potrzebujemy tłumaczyć co znaczy Ghetto, jest to osobna część miasta, wyłącznie dla Żydów przeznaczona, jak po innych starych miastach Europy bywało... W średnich wiekach ludzie się chętnie, nie bacząc na braterstwo dzieci bożych, dzielili, odpychali, wyłączali i nękali wzajemną nienawiścia i wzgardą. Nie było nad to wyłączenie ze społeczeństwa lepszego sposobu uczynienia całego plemienia szkodliwem, nienawistnem. Skutki tego okrutnego ostracyzmu, który psuje i upadla równie tego co skazuje, jak tego co cierpi, widzieliśmy na nieszczęśliwych Żydach w naszym dopiero wieku dopuszczonych do praw ludzkich i obywatelskich. Jak piętna kajdan na długo wpijają się w ciało, tak skutki niedoli i odepchnięcie moralnie przez wieki noszą ludy wyłączone. Nie łatwo się otrząsnąć z tego egoizmu, do którego zmusza prześladowanie i odosobnienie, niesprawiedliwość i bezprawie. To też Żydzi po dziś dzień zachowali w sobie coś z tej natury, jaką im narzuciło długie, tysiącletnie prześladowanie. Wieków potrzeba, aby ślady wiekowe się zatarły; społeczność może dziś cierpieć od nich, jak niegdyś oni od niej cierpieli... ale czas zagładzi złego ślady... ufajmy. W Rzymie położenie Żydów w pierwszych wiekach chrześcijaństwa zaraz ciężkim się stało, później coraz boleśniejszem, stolica wiary wysadzała się na nękanie tak zwanych jej nieprzyjaciół. Osiedli tu od bardzo dawna i w znacznej liczbie, nie mogli oni opuścić Rzymu, choć położenie ich było nie do zniesienia. Ale czegoż się nie cierpi, aby nie opuścić dachu, pod którym stała nasza kolebka, ziemi, na której są ojców groby!... Średniowieczne męczeństwo Żydów usprawiedliwia według nas ten charakter, jaki im zawsze wyrzucano, nie krew, nie plemię, ale sam świat uczynił ich tem, czem byli. Żyd był zawsze na łasce społeczności, po za prawami, które służyły innym ludziom, mógłże być tego społeczeństwa obywatelem i do istniejącego przywiązać się porządku?...

„Wiadomo, że odwiecznym zwyczajem karnawał Rzymski, odbywał się kosztem gminy żydowskiej, na rozpoczęcie jego deputacja niesie na Kapitol daninę roczną i bukiet kwiatów. Dawniej odbierający go urzędnik, oddającego w pokorze, wedle obyczaju uderzał nogą, dziś tę ceremonię zarzucono. Rząd toleruje dwie bóżnice i nie prześladuje Żydów, ale do jednego z kościołów raz w rok obowiązani są pójść na kazanie, jest to próba nawrócenia, po odbytej ceremonii Żydzi idą do synagogi jak przedtem i cały rok są spokojni" (t. I, str. 384—385).

Tak było w roku 1858 w Rzymie — stolicy państwa kościelnego, papieskiego. W Europie dawno już tak nie było. Rozumiemy więc skad owo braterstwo naszego nacjonalizmu z rzymskim katolicyzmem.

Oto *salto mortale* chrześcijaństwa: od nauki moralnej mistrza z Nazaretu, poprzez doktrynę katolicyzmu bezprzymiotnikowego, do doktryny katolicyzmu z przymiotnikiem — rzymski.

***

Policja — jej celem i hasłem jest: porządek, spokój, bezpieczeństwo publiczne. Instytucja to zatem niezmiernie ważna, bo bez porządku, spokoju, bezpieczeństwa publicznego państwo nie mogłoby istnieć. To też wiele tej policji można, i wiele jej się wybacza...

Uniwersytet — jego hasłem są chyba słowa poety: „Słońce prawdy nie zna Wschodu ni Zachodu"... A więc czyż przystoi rektorom zajmować się ghettem ławkowym?... Czy przystoi rektorom dlatego, że o to ghetto w roku ak. 1936/37 warcholiła pewnego autoramentu młodzież, stosować się do ich życzeń w roku ak. 1937/38?...

Czy to nie pierwszy krok do zastosowania i w *nauce* zasady rozróżnania „zachodu" i „wschodu"?...

Dokąd idziemy — my, naukowcy?

HENRYK UŁASZYN.

Reakcjoniści muszą w pomoc sile brutalnej używać hypnotyzowania ofiar, to jest muszą, głównie za pomocą zaprzedanej literatury, oddziaływać „ideowo", „moralnie", wmawiać w wyzyskiwanych „dla przykładu", że zaspakajanie potrzeb życiowych to grzech, to nikczemny, niski materializm. Naturalnie! — chcąc samemu zjeść więcej z zastawionego stołu, trzeba towarzyszom obrzydzić jadło lub zastraszyć jego szkodliwością.

WACŁAW NAŁKOWSKI
„Jednostka i Ogół" (1904)

Nad mogiłą zwiastunów niepodległości...

Ostatnie dziesięciolecie XIX wieku było chyba najsmutniejszym w dziejach naszej niewoli okresem. A w każdym razie jednym z najsmutniejszych... Pogasły już oddawna wielkie pochodnie romantyki, nawet wartki, rześki strumień myśli pozytywistycznej wysechł lub rozpłynął się w rzadkim błocie politycznego i osobistego karierowiczowstwa. Cisza i apatia ogarnęły „Przywiślińskij kraj" lub poprostu „Priwislinje", jak oficjalnie ochrzczono Królestwo Kongresowe. Głęboko, pod powierzchnią, nurtowały już wprawdzie ognie podziemne, sposobiąc się do nowego wybuchu, lecz nazewnątrz wszystko miało pozór pokoju i dosytu. Któż mógł przypuszczać, że nieznany nikomu, dwudziestoletni zaledwie student, niejaki Józef Piłsudski, zesłany świeżo przez opiekuńczy rząd na Sybir, jest tym, co szlakiem Batorowym powiedzie zastępy nasze do Smoleńska nieomal? Komu przyszło do głowy przy pospiesznym czytaniu „zakazanej broszurki", przyniesionej przez długowłosego studenta, a pisanej stylem twardym, niedbałym, jakby na kolanie, że jest ona zarzewiem pożaru, który strawi podwaliny wielkiego więzienia narodowego i w sposób decydujący przyspieszy jego nagły a katastrofalny upadek? Jeno bardzo wyczulone ucho usłyszeć mogło kucie młotów, wartko obracających się w rękach gnomów podziemnych, jeno bardzo zbolałe a stęsknione serce wyczuć zdołało tętent nadbiegającego w błyskawicznym pędzie konia Wernyhory... Wytrzeźwiony ze „złudzeń", pogodzony z losem ogół wegietował spokojnie lub, co gorsza, robił „realną politykę". Ugoda kwitła...

W literaturze przyszła kolej na ludzi wykolejonych, zdartych jak stare chodaki. Wykolejonych od urodzenia. W powieściach roiło się od bohaterów schorzałych, z przetrąconym już w kolebce stosem pacierzowym, o duszy zastarzałej, zmiętej, nie pożądającej i nie wyczekującej od życia niczego. „Śmierć" Ignacego Dąbrowskiego jest arcytypem utworów tego rodzaju. Pisało się „cienkim piórkiem", jak ktoś się wyraził, mówiło szeptem, jak przy łożu beznadziejnie chorego. Zwycięski poryw Wallenroda lub tytaniczne zmaganie się Konrada były nie do pomyślenia w tym klimacie duchowym. I pocóż zmagać się, gdy myśl o zwycięstwie wyłącza się z góry?

Wśród takiej ciszy i śmiertelnej niemal apatii — pierwsze „Opowiadania" Żeromskiego zabrzmiały niby dzwon na trwogę w mrokach głuchej nocy zimowej. Tu już nie było miejsca dla litośnej łezki, dla łatwego a taniego „pokrzepienia serc". Ktoś wołał, ktoś szalał z rozpaczy, ktoś z sadystyczną rozkoszą rozrywał rany narodu, „aby zaś nie zarosły błoną podłości"... Przyzwyczajony do harmonijnych choć smutnych akordów czytelnik polski nie mógł się zorientować zrazu. Frazes o nawianym ze wschodu pesymiźmie nie wystarczał: rozbudzone sumienie nie dało uśpić się ponownie. „Nie nękaj", wołano do bezlitosnego budziciela uśpionych w letargu dusz. „Katem ci będę raczej niż usypiaczem", brzmiała odpowiedź, „upiorem wstanę z mogiły i dręczyć cię będę po nocach, i pić krew twoją, iżeś nie umiał przelać jej do ostatniej kropli w obronie czci swej i pierworództwa swego!" „Utwory powieściowe", „Rozdzióbią nas kruki, wrony", „Ludzie bezdomni", a wreszcie „Popioły" — padały jak pociski, siejąc popłoch w tej, jak ją nazwał Brzozowski „Atlantydzie utuczonych kapłonów", jaką była ówczesna posiadająca i ton nadająca Polska.

Ileż to atramentu przelało się wtedy w polemikach, rozwiązując zagadnienie, czy Judym dobrze zrobił, porzucając Joasię? Taka ładna i wykształcona panienka... i dobra — i nawet z porządnego domu! Napewno nie byłaby ciężarem mężowi, przeciwnie — ulżyłaby mu w jego doli i niedoli. Cóż za dziwactwo? Spóźniony nawrót do ascezy średniowiecznej, czy co u licha?! A jednak Judym odtrącił Joasię, — z rozdartym sercem, ale odtrącił. Kompromis był tu niemożliwy: kto chce wedrzeć się na szczyt Ewerestu, musi odrzucić precz wszelki ciężar niepotrzebny, choćby mu serce krwią zalewało...

Taką grozą wiała rzeczywistość tamtoczesna na najwyższych i najszlachetniejszych przedstawicieli pokolenia. A działo się to przecie na kilka lat przed wojną japońską i rewolucją 1905 r., na ćwierć zaledwie wieku przed zawieruchą światową i wskrzeszeniem ojczyzny... Kto nie wczuje się w nastrój, w jakim żyło i pracowało w krwawym pocie ostatnie porozbiorowe pokolenie, ten nie zrozumie ani joty z wytworów jego ducha. Zadowolona z siebie, karmiąca się plewami sensacji kurierkowych przeciętność na powierzchni „zimnej i twardej, suchej i plugawej", — Ugolinowe inferno rozpaczy i beznadziei w głębi — oto Polska z końca XIX stulecia!

Potężne, porywająco piękne, lecz zbyt twarde, zbyt bezlitosne czasami dźwięki pieśni twórcy „Popiołów" wstrząsały wszystkie serca. Nie na wszystkich atoli działały jednako: gdy jedni, ludzie silnego ducha, zbudzeni głosem wielkiego poety, zrywali się ochoczo i, złożywszy Hannibalową przysięgę, z zaciętymi zębami brali się do nadludzkiego, zda się, trudu odwalania wiekowego głazu niewoli, — inni, słabsi, skuleni i drżący, opuszczali bezwładnie ręce, jak skazańcy, którym ogłoszono wyrok wiecznej zatraty. W słowach Żeromskiego była obrażona do głębi miłość, brakło wiary i nadziei. I oto los łaskawy zesłał wielkiemu piewcy ducha bratniego, człowieka, który miał mu być nieodstępnym towarzyszem idei, rozsiewcą uczuć jego i myśli. Człowiekiem tym był — Gustaw Daniłowski. Skromniej od natury udarowany, pokorny i cichy, łatwiej trafiał do serc prostych a miłujących, budząc w nich wiarę i nadzieję, rzeczy oddawna duszy polskiej nieznane. Gdzie przez szczelnie zamknięte otwory nie doleciał dźwięk spiżowej melodii Żeromskiego, tam przenpłynęły tony fletni Daniłowskiego. Jego poematy, nowele, powieści były czytane powszechnie i nikt nie zdołał obliczyć ile dusz uśpionych obudziły, ile serc zapaliły miłością dla świętej sprawy... Był okres, kiedy popularnością mógł się mierzyć ze swoim mistrzem, choć mocą i głębią nigdy mu nie dorównał.

W pamięci potomnych pozostaną skuci razem łańcuchem na zawsze, jak Lelum i Polelum w tragedii Słowackiego. Razem walczyli i razem płonęli na jednym stosie ofiarnym. Nawet śmierć rozłączyć ich nie mogła: gdy jeden zmarł, w niespełna dwa lata i drugi poszedł za nim w ślady. „Gdzież oścień twój, o śmierci!"

TADEUSZ STĘPNIEWSKI.

Tajemnica Rosji

W październikowym zeszycie amerykańskiego kwartalnika „ForeignAffairs" pilny badacz rzeczy rosyjskich, ukryty pod pseudonimem Balticus, usiłuje pochwycić treść zwrotu, jaki ostatnimi czasy dokonał się w zagranicznej i wewnętrznej polityce Unii Sowieckiej. Poniżej dajemy czytelnikom „Epoki" w zwięzłym streszczeniu zasadniczą myśl autora, w przekonaniu, że zainteresować ona powinna obywatela polskiego nie mniej, niż obywateli St. Zjednoczonych Ameryki Północnej.

„EPOKA"

Najnowsza faza ewolucji, jaką przeżywa Unia Sowiecka, nie szczędzi światu niespodzianek. Niespodzianki te stały się ostatnio tak oszałamiające, że wielu Rosjan, zarówno sprzyjających komunizmowi, jak jego wrogów, a także wielu obserwatorów zagranicznych, zazwyczaj wypowiadających się ze stanowczością w rzeczach rosyjskich, zwątpili o możności znalezienia dla nich jakiegokolwiek wytłumaczenia racjonalnego, odkrycia w ich przebiegu jakiejkolwiek logiki wewnętrznej lub dającego się pochwycić kierunku. Nie można wszakże powiedzieć, aby nie istniały pewne określone teorie co do owych katastroficznych zdarzeń, które tak głęboko w ostatnich miesiącach wstrząsnęły ruchem komunistycznym i zmąciły opinię pewnych siebie znawców życia rosyjskiego. Nie będziemy się kusili o to, aby wśród teorii tych dokonać wyboru. Zamiarem naszym jest dostarczenie czytelnikowi nieco światła, pozwalającego, choćby z grubsza, zorientować się w rozmaitych prądach, które nurtują w Rosji na schyłku drugiego dziesięciolecia istnienia ustroju sowieckiego.

Żywe gąbki, nasiąknięte krwią

Cofnijmy się w dziejach Unii Sowieckiej o półtora roku wstecz, w okres, bezpośrednio poprzedzający sprawę Zinowiewa-Kamieniewa, a będziemy musieli stwierdzić, że rządy Stalina nigdy nie zdawały sę tak silne, tak niezachwiane, tak utrwalone, jak właśnie w owym okresie. Sytuacja gospodarcza stała pod znakiem stopniowej poprawy. Niektóre gałęzie przemysłu wykazywały bezsporny postęp. Stosunki między rządem a ludem straciły na ostrości napięcia. w każdym zaś razie były inne niż w latach 1928—33, kiedy rekwirowano zboże i kolektywizowano gospodarstwa chłopskie. Dążność do normalizacji zyskała swój wyraz polityczny w nowej konstytucji, przyjętej w grudniu 1936 r. Rządy wprawdzie i nadal skupiać się miały wyłącznie w rękach jednej partii politycznej, której konstytucja zapewniała pełnię władzy. Demokracja i nadal dalekim pozostawała mirażem. Nie mniej wszakże, skoro przypomnimy sobie, jakim przerażeniem od lat 18-stu napełniało wodzów komunizmu powszechne, tajne, bezpośrednie i równe prawo głosowania, snadnie pojmiemy, jak wielką zmianę zapowiadał sam *pozór* wyborów, na takim głosowaniu opartych. Rząd, zdawało się, chciał pokazać, że czuje się dość silny, aby zaryzykować próbę zastąpienia ustroju sowieckiego normalniejszym ustrojem przedstawicielstwa ludowego. Twierdzenie, że jednym z motywów rządu moskiewskiego było prawdopodobnie zjednanie dla Sowietów lepszej reputacji w zagranicznych kołach demokracji, nie osłabia wiary w to, że Moskwa powodowała się jednocześnie dwoma innymi celami: 1) dać pewne zadośćuczynienie masom, które pragną brać żywszy udział w sprawach państwowych; 2) zaofiarować ustępstwa chłopstwu, które przez uprzednią ordynację wyborczą było szczególniej upośledzone.

Rząd sowiecki, słowem, jeszcze półtora roku temu zdawał się trwać na niewzruszonych podstawach.

Atmosfera, jaka panowała w Moskwie wiosną i latem r. 1936, opisana została przez jednego z funkcjonariuszy sowieckich — starego bojowego komunistę, który należał do partii jeszcze pod caratem, poznał więzienie i Sybir, obecnie zaś zajmuje wybitne w swej partii miejsce — w niezwykle ciekawym liście, ogłoszonym zeszłej zimy w *Zwiastunie Socjalistycznym*, emigranckim organie paryskim rosyjskiej Socjal-demokracji („Mieńszewicy"). „Oglądając się dziś poza siebie — pisał ów weteran komunizmu w końcu r. 1936 — rozpoznajemy pewne oznaki, które mogły były dać nam wiele do myślenia. Ale nie sztuka wyprorokować to, co już się stało. W rzeczywistości, każdy z nas był przekonany, że najgorsze już minęło i że zaczął się okres gospodarczej i politycznej poprawy, która, jakkolwiek powolna, miała być jednakże niezawodna".

I wtenczas to nagle, jak grom z jasnego nieba, runęła w świat wiadomość o procesie Zinowiewa — Kamieniewa oraz szeregu krwawych egzekucyj i represyj. Ogół rosyjski był wypadkami tymi zaskoczony nie mniej od ogółu opinii światowej, ale przyjął je inaczej: jego zdumienie splatało się z satysfakcją. Społeczeństwo rosyjskie nie wiedziało nic o walce, jaka od roku z górą toczyła się na wierzchołkach partii. Wielu obserwatorów stwierdza, że człowiek z ulicy — funkcjonariusze, technicy, robotnicy, masy stojące poza partią — z nietajonym patrzyły zadowoleniem na stracenie lub wtrącenie do więzienia ludzi, których uważano za usobienie najokropniejszego teroru w początkowym, wojennym okresie bolszewizmu. Nazwiska Trockiego, Zinowiewa, Kamieniewa. Jagody, były to — w pamięci ogółu — żywe gąbki, nasiąkniete krwią. Ktokolwiek nadeptał je stopą, choćby to była żelazna stopa nowego despoty, zdawał się narzędziem jeśli nie sprawiedliwości, to zasłużonej zemsty.

Hipoteza mieńszewików

Inną wszakże sprawą było rozstrzelanie marszałka Tuchaczewskiego i siedmiu generałów w czerwcu r. 1937. Ich przeszłość polityczna była zapomniana lub nieznana. Od szeregu lat rząd moskiewski czynił wszystko, aby zwiększyć ich popularność. A jednak mimo to śmierć ich nie wywołała poruszenia. Nawet wojsko zachowało spokój. Rząd — mówiąc językiem tradycyjnym — pozostał panem położenia. Mógł on

w dalszym ciągu odwoływać ze stanowisk, osadzać w więzieniu i tracić coraz nowych wysokich funkcjonariuszów oraz członków partii — częstokroć z pominięciem wszelkich choćby pozornych form proceduralnych — nie narażając się na jakikolwiek opór w społeczeństwie. Maszyna represyjna działała doskonale. Lud, jak w ostatniej scenie puszkinowskiego *Borysa Godunowa*, milczał.

Niektórzy obserwatorzy łumaczą to milczenie, jako najgorszą wróżbę. Owa apatia, owa bierność — powiadają — dowodzi że Rosja jest chora; że stać ją jedynie na to, aby niemym być świadkiem konania reżymu rewolucyjnego oraz rzezi wzajemnej przywódców wewnątrz dyktatury komunistycznej. Wynik ostateczny — twierdzą ci sami obserwatorzy — może być tylko jeden: rząd faszystowski lub bonapartyzm.

Teza taka wspierana jest przez „mieńszewików" rosyjskich, którzy mienią się być jedynymi prawdziwymi rewolucjonistami marksowskiego obrządku. W czasopiśmie swym „Zwiastun Socjalistyczny", obserwatorzy tacy, jak Teodor Dan i Rafał Abramowicz, opisują Rosję Sowiecką, jako ustrój, który kończy swój ostatni kryzys i stoi w przededniu walnego przełomu. Stalin — ich zdaniem — zamierza rządzić nadal samowładnie w zmienionym ustroju, opierając się na nowej „klasie uprzywilejowanej", to jest na tych wszystkich, którzy „zarobili" na rewolucji, którzy zajęli stałe stanowiska w biurokracji cywilnej i wojskowej, w aparacie przemysłowym, technicznym i administracyjnym. Ta klasa społeczna wolna jest od tradycji rewolucyjnej. Nie ma ona żadnej ideologii poza ideologią państwa totalnego; żadnego ideału poza tym, aby — jak wyraził się Stalin — „żyć zamożnie i przyjemnie". Chcąc wygładzić drogę pochodowi tej chciwej, drapieżnej, bezwstydnej hordy, Stalin — wedle teorii „mieńszewickiej" — postanowił uprzątnąć starych rewolucjonistów. Większość tych ostatnich, co prawda, od dawna już osiadła na spokojnych stanowiskach w biurokracji. Lecz Stalin pamięta ich przeszłość i nie ufa im w nowym porządku rzeczy.

Wszelako Stalin — ciągną dalej „mieńszewicy" — nie sam jeden w Rosji marzył o cezaryźmie. Ten sam sen śnili i inni. I aby współzawodników uprzedzić, ambitny Gruzin pierwszy pomyślał o tym, żeby stanąć przed ludem z nową konstytucją i z jej pomocą poddać swą politykę plebiscytowi. Nasam przód postawił swego zaufańca Jeżowa na czele policji politycznej — GPU, usuwając z jej kierownictwa Jagodę i Prokofiewa, po czym wzniósł topór teroru nad wysokimi dowódcami armii, zwłaszcza tymi, którym się śniły laury Napoleona. Wczoraj stracony został Tuchaczewski. Jutro przyjść może kolej na Woroszyłowa. Jedynym kresem tej krwawej łaźni będzie plebiscyt albo zamach stanu, o ile proletariat przemysłowy nie zbudzi się, nie strząśnie jarzma i nie narzuci demokracji politycznej.

Czasopismo „mieńszewickie" nie daje wiary skierowanym przeciw Tuchaczewskiemu i jego kolegom oskarżeniom o szpiegostwo i zdradę Rosii. „Jest to jedno z owych ohydnych oszczerstw, za których pomocą Stalin chce zdławić swe ofiary moralnie". *Zwiastun Socjalistyczny* sądzi, że stracenie generałów możnaby tłumaczyć jako akt szaleństwa, gdyby w armii nie istniał rzeczywiście ruch, skierowany przeciw Stalinowi. Godzi się on z tym, że w wyższych kołach wojskowych i cywilnych taiła się dążność do ugody z Niemcami. Dążność ta mogła być tolerowana przez Stalina aż do niedawna, jako pewien „kredyt rezerwowy", przydatny w razie domniemanego zwrotu w rosyjskiej polityce zagranicznej. W oczach jednakże „mieńszewików" tendencja pro-niemiecka, sama przez się, nie tłumaczy rozstrzelania ośmiu generałów.

Hipoteza Milukowa i Kiereńskiego

Teza „mieńszewicka" — jak widzimy — jest bardzo pomysłowa. Słabość jej atoli polega na tym, że fakty nagina do swej z góry powziętej teorii. Już od r. 1918 „mieńszewicy" — jedyni, jak o sobie twierdzą, marksiści „realni" — polują na podobieństwa i paralele między Rewolucją Francuską a Rosyjską. W okresie NEP-u, Nowej Polityki Ekonomicznej (1921—1929) przepowiadali nadejście „Thermidoru" i częściową przynajmniej odbudowę systemu kapitalistycznego. Obecnie, na przekór wróżbom „mieńszewickim", Stalin, przekreśliwszy NEP, zniszczył nową burżuazję, wywłaszczył miliony chłopów i stworzył potężny przemysł w zarządzie państwowym. W interesie kierowników tego przemysłu leżeć musi, aby Stalin i ci wszyscy, którzy z nim współdziałają, przygotowywali drogę dla kontr-rewolucji, dla systemu, zabezpieczającego „hierarchię, ład i porządek". Ale w takim razie poco mieliby przeciw Stalinowi knuć spiski genrałowie, skoro dążyli do tych samych celów?

Na to pytane „mieńszewicy" nie mają odpowiedzi. To też z całkiem inną próbą wyjaśnienia tajemnicy wystąpił w swym paryskim organie prof. Milukow, przywódca rosyjskiej demokracji republikańskiej. Jego zdaniem, które po części pokrywa się także ze zdaniem Kiereńskiego, rostrzelani generałowie byli przeciwnikami pro-niemieckiej polityki zagranicznej i spiskowali przeciw Stalinowi w imię wprowadzenia w Rosji ustroju demokratycznego. W tej hipotezie Stalin pozostaje tym, kim był dotychczas: starym miedzynarodowym rewolucjonistą, niszczycielem Rosji. Lecz jeśli Stalin wciąż jest internacionalistą, to czemu kazał rozstrzelać internacjonalistów z pod znaku Trockiego?

Koncepcja Milukowa i Kiereńskiego nie prowadzi dalej od pomysłu Dana i Abramowicza. W jaskrawej z nimi opozycji stoi diagnoza tych obserwatorów angielskich, francuskich, czeskich i bałtyckich, którzy w przeszłości nieraz dowiedli, że są dobrze poinformowani. Wedle ich zdania, spisek Tuchaczewskiego oraz jego grupy nie tylko zwracał się przeciw Stalinowi, ale w porozumieniu z przywódcami *Reichswehry* podjęty był w zamiarze stworzenie w Rosji dyktatury wojskowej i zawarcia moskiewsko-niemieckiego paktu.

Hipoteza Steeda

Publicysta angielski Wickam Steed idzie w domysłach swych jeszcze dalej w tym samym kierunku. Mniema on, że wykryty spisek był częścią daleko sięgających planów dowództwa niemieckiego, skierowanych przeciw mocarstwom zachodnim. Spisek, gdyby się był udał, miał zneutralizować armię rosyjską w razie wojny w Europie zachodniej.

W ramach tezy powyższej, stracenie starych wodzów bolszewickich oraz „czystka" przeprowadzona w wojsku rosyjskim miały za zadanie urwać łeb raz na zawsze tendencjom pro-niemieckim w Rosji Sowieckiej i zapewnić stałość zagranicznej polityce Litwinowa, opartej o współdziałanie z demokracjami Zachodu a zmierzającej do ocalenia pokoju. Seria rozstrzałów, dokonanych na rozkaz Stalina, była odpowiednikiem pokojowej polityki moskiewskiej w Genewie. Wedle tejże koncepcji, cała sprawa, zarówno akcja jak reakcja, rozegrała się w „duchu" czysto rosyjskim. Trocki i Zinowiewowcy byli nieubłaganymi wrogami Ligi Narodów, tudzież „anglo-francuskiego imperializmu". Wierzyli oni, że rewolucja światowa była nieodzownym warunkiem powodzenia socjalistycznego eksperymentu rosyjskiego i że rewolucja taka przyjść mogłaby jedynie w wyniku nowej wojny światowej. Wskutek tego, jako niepoprawni awanturnicy, pracowali nad wywołaniem starć, mogących rozpętać nawałnicę. Oni to w roku 1923, w okresie zajęcia Ruhry przez wojska francuskie, współpracowali z niemieckimi nacjonalistami oraz z niemieckimi rekinami ciężkiego przemysłu, w nadziei wzniecenia w Niemczech narodowej rewolucji bolszewickiej i — być może — wojny nad Renem. W marcu 1923 Zinowiew wprzągł do realizacji tych planów Radka i Piatakowa. Trocki, dla względów osobistych, pozostający na uboczu, wyrzucał podówczas swym towarzyszom chwiejność i brak decyzji.

Z chwilą gdy Stalin stanął na gruncie zasady budowania „socjalizmu w jednym kraju", rzecznicy „rewolucji światowej" odstawieni być musieli na boczny tor: popadli w niełaskę. Wtenczas to nawiązali oni tajemną styczność z niektórymi wyższymi rangami w wojsku: z ludźmi, którzy nie pochwalali genewskiej polityki Litwinowa, wierzyli w przewagę armii niemieckiej i nie ufali demokracjom Zachodu. Najambitniejszym z tych malkontentów wojskowych był Tuchaczewski, z którym przyjaźnili się generałowie Putna i Kork (ten ostatni ukończył w Niemczech szkołę wojskową). Oficerowie ci pałali żądzą zawarcia jakiegokolwiek przymierza, któreby pozwoliło Rosji zachować swe granice a może nawet rozszerzyć je kosztem państw sąsiednich. Uważali oni siebie za dobrych patriotów i za dobrych — na swój sposób — komunistów. Nie byli oni — w przeciwieństwie do Trockiego — defetystami. Nie dopuszczali ani na chwilę myśli o tym, aby Ukrainę odstępować Niemcom lub Syberię — Japonii. Jednakowoż pragnęli uniknąć wojny na dwa fronty. Głównego wroga na razie widzieli w Japonii. Stąd zrodziła się w nich dążność do szukania porozumienia z Niemcami kosztem Polski, t.j. do powrotu ku tej samej polityce, jaka panowała w Rosji w okresie lat 1922 — 1933.

List starego bolszewika

Teza, dotycząca udziału pewnych kół niemieckich w domniemanym spisku antystalinowskimm, otrzymuje ciekawe boczne rzuty światła w nadmienionym już wyżej „Liście Starego Bolszewika".

W pierwszych kilku miesiącach po chwyceniu władzy w Niemczech przez Hitlera — czytamy w tym liście — sądzono w Moskwie, że Trzecia Rzesza będzie jedynie efemerydą, że Hitler zdoła utrzymać się w siodle zaledwie czas krótki, po którym wybuchnie rewolucja. Że „imperialiści" Anglii i Francji spokojnie patrzeć będą na uzbrojenie się swego „wroga dziedzicznego", uważano za wyłączone. Nie brano też w Moskwie poważnie miotanych przez hitleryzm gróźb krucjaty antybolszewickiej. Stopniowo wszakże zaczęto na Kremlu zdawać sobie sprawę, że sytuacja przedstawia się groźniej, niż przypuszczano zrazu, że ze strony mocarstw zachodnich nie należy oczekiwać żadnych przeciw Hitlerowi kroków zapobiegawczych i że kampania przeciw Rosji przestaje być bajeczką dla dzieci. Pod wpływem tych spostrzeżeń dokonano w rosyjskiej polityce zagranicznej zwrotu, który wprowadził Unię Sowiecką do Ligi Narodów i wyraził się w kreacji „frontu ludowego" we Francji. Zwrot taki rzecz prosta, nie mógł nastąpić bez dłuższego okresu rozpraw i sporów. Niełatwo było pokonać starą, głęboko zakorzenioną orientację, wyrażającą się w ciążeniu ku Niemcom, nawet Niemcom reakcyjnym, a zmierzającą ku wywołaniu przy ich pomocy wojny, którąby przeistoczyła się w rewolucję powszechną. Zwrot w sowieckiej polityce zagranicznej był tym trudniejszy do przeprowadzenia, że nowa orientacja w kierunku demokratycznych stronnictw Europy zachodniej musiała nieuchronnie pociągnąć za sobą gruntowną odmianę w polityce wewnętrznej Rosji.

Przełom w polityce sowieckiej

Ów głęboki przełom w polityce zagranicznej, o którym mówi „stary Bolszewik" zaszedł w roku 1934. W początkach tego roku Komintern brnął jeszcze dawnym szlakiem swych krętych i powikłanych planów. Łudził się on majakiem wojny, mającej rzucić przeciw sobie mocarstwa imperialistyczne na benefis Rosji oraz rewolucji światowej. We Francji komuniści miejscowi po dawnemu sprzeciwiali się wznowieniu zbrojeń, głosili defetyzm pacyfistyczny, podczas rozruchów 6. II w Paryżu domagali się aresztowania Deladiera. Nagle postanowiono z tym wszystkim zerwać radykalnie. We wrześniu r. 1934 Unia Sowiecka wstąpiła do Ligi Narodów. W maju r. 1935 zawarła układ wzajemnej pomocy z Francją.

Stalin osobiście zapewnił Lavala, że odtąd komuniści francuscy nie będą przeszkadzali planom wzmocnienia obrony krajowej. Równolegle z tą ewolucją nastąpiło rozluźnienie gospodarczych i militarnych węzłów, które Moskwę łączyły z Berlinem od czasów Traktatu Rapalskiego (1922). Około 70.000 zatrudnionych w Rosji niemieckich oficerów, inżynierów, techników, i robotników powróciło do ojczyzny. Zakłady, które w Niemczech pracowały dla Sowietów i były przez nie utrzymywane, zostały zamknięte.

W zakresie operacyj tej nowej polityki dopuszczono jeden tylko wyjątek. Wedle szczegółów, podanych przez dobrze zazwyczaj poinformowane *Basler Nachrichten* (27.VI. 1937), pewnym oficerom czerwonej armii, włącznie z Tuchaczewskim, pozwolono i nadal utrzymywać styczność z ich niemieckimi kolegami. Stalin przystał na tę dyskretną łączność. W poufnych stosunkach czerwonego marszałka z Reichsvehrą widział on zapasową kartę, którą — gdy nadarzy się sposobność — możnaby było wygrać; gdy zajdzie konieczność — zniszczyć.

Czy Tuchaczewski to, co było tylko wariantem w rozumieniu Stalina, wziął za tekst główny i zasadniczy? Czy pozostawiony sobie wątek inicjatywy posunął za daleko i przekroczył granice poufnego mandatu? Czy też może, niezadowolony z roli podrzędnej, zamierzył wysunąć się na stanowisko czołowe i będąc jedynie kartą w ręku gracza, uległ ambitnemu złudzeniu, że jest mistrzem powołanym do samodzielnego rozegrania partii?

Fakt pozostaje faktem, że karta, uosobiona w Tuchaczewskim i jego wojskowej grupie, została przez Stalina zniszczona. I wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, zniszczona została na tym szczątkowym skrawku drogi, który jeszcze łączył Sowiety z Niemcami. Ostatni na tej drodze przechodzień — obojętne: jawny czy tajny — legł trupem, aby wszystkim stało się wiadomo, że drogi — niemal.

Bonaparte sowiecki

Aż do chwili, w której Hitler zasiadł w Berlinie, otworem stało w Rosji Sowieckiej pole dla swobodnej wymiany zdań co do orientacji w polityce zagranicznej. Z chwilą wszakże, gdy w Niemczech zapanowała dyktatura „narodowego socjalizmu", stało się rzeczą oczywistą, że dla Moskwy nie jednakowe przedstawiają niebezpieczeństwo rządy demokratyczne i rządy faszystowskie. Ci politycy, którzy komunistom niemieckim zalecali łączyć się z nacjonalistami, by pospołu podkopywać republikę Weimaru, spekulując, że w chaosie, jaki stąd wyniknie, uda się pochwycić władzę dla Sowietów, zdyskwalifikowani zostali przez historię. Czerwoni Machiawele, rojący sny o rewolucji światowej, okazali się ofiarami, po których karku faszyzm niemiecki tryumfalnie wstąpił ku wszechwładzy i mógł podać rękę faszyzmowi włoskiemu. Kierunek, który jeszcze niedawno uchodzić mógł za tor zapasowy w zagranicznej polityce Sowietów, teraz, w cieniu rosnącej potęgi militarnej hitleryzmu, uznany być musiał za orientację niedopuszczalną: za zdradę stanu.

Rosja Sowiecka — orzeczono na Kremlu — potrzebuje pokoju. W imię tedy pokoju, w imię własnego bezpieczeństwa, musi zagrodzić drogę zdobyczom faszyzmu, nim tenże stanie się potęgą w świecie niezwalczoną; musi, w każdym razie, poniechać wspierania reakcji, choćby widziała w jej triumfach niezawodny szczebel do przewrotu społecznego. Komunizm zwinąć musi swą chorągiew rewolucji światowej i zamknąć się w granicach Rosji.

Wbrew tym nowym orientacjom Kremla, grupa polityków sowieckich, którą z gruba możnaby nazwać grupą trockistów, zachowała w dalszym ciągu niektóre ze swych dawnych idej. W dalszym ciągu popierała myśl porozumienia bądź z Niemcami, bądź z Japonią, jako najlepszą dla Unii Sowieckiej rękojmię pokoju i — nadziei. Japonia i Niemcy, pojednane z Moskwą — rozumowali trockiści — pozyskają wolną rękę dla zajęcia się innymi sąsiadami; a jeśli z tej ich zaczepnej polityki wywiąże się wojna, tym lepiej — Rosja Sowiecka stać będzie na boku, a więc w pozycji o wiele korzystniejszej dla wyzyskania chaosu w kierunku dla siebie pożądanym.

Przeciwko tym to rachubom wystąpił Stalin, uzbrojony w pioruny teroru. Terorem wywartym u siebie w domu, postanowił wesprzeć pokojowe kroki Litwinowa wołającego o bezpieczeństwo kolektywne na terenie genewskim. Krwią, przelaną w Moskwie, dał — w stylu zaiste rosyjskim — świadectwo szczerości zapewnieniom, składanym opinii demokratycznych krajów zachodnich: krajów, wzywanych przez Moskwę do sypania wspólnego — pod egidą Ligi Narodów — szańca przeciw pochodowi międzynarodowego faszyzmu.

Ta sama skala w różnicach opinii, która w roku 1929 doprowadziła do banicji Trockiego, ale nie stawiła na kartę jego głowy, doprowadziła w r. 1936-37 do krwawego pogromu tych wszystkich, którzy zachowali coś z jego poglądów.

Stalin odrzucił przestrogę Lenina przed popadnięciem w jakobiński błąd „wzajemnego siebie wytępiania". Dyktatura jego stanęła w obliczu logicznej konkluzji wszystkich systemów despotycznych: każda różnica zdań jest zdradą.

Poza tymi dwiema ideologicznymi grupami, lub raczej jako żywy do jednej z nich załącznik, stała klika wojskowa z Tuchaczewskim na czele. Czerwonemu marszałkowi igrała w głowie myśl o tym, aby armię rosyjską uniezależnić od politycznej kontroli partii komunistycznej. Czy wśród dowódców Reichswehry nie świtała myśl pokrewna ,aby oręż niemiecki wyzwolić z pod kontroli partii brunatnych koszul? W takim razie do poufnych Tuchaczewskiego rokowań z Reichswehrą dołączył się motyw nowy, nie najmniejszej wagi. Jakiekolwiek wszakże były motywy dodatkowe egzekucji ośmiu generałów sowieckich, o losie ich przesądził motyw główny, który wystarczał sam przez się: generałowie owi byli współzawodnikami Stalina, a chcieli stać się następcami jego władzy. Tuchaczewski wyobraził sobie, że potrafi stać się Bonapartym rewolucji rosyjskiej. Wszelako spotkał się z wolą dyktatorską, która okazała się odeń twardsza i nielitościwsza.

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

E. A. RHEINHARDT: „Napoleon i Eugenia", powieść biograficzna. Powszechna spółka wydawnicza „Płomień". Warszawa 1937 r. Przełożył Bolesław Jacek Frühling.

Z dużą plastyką napisana jest ta monografia władcy, który chciał być i liberałem i cesarzem i po stopniach demokracji wspinał się ku totalizmowi. Wiadomo, na czym się skończyło.

Niczyjego serca, prócz współczesnych karierowiczów, nie podbił Napoleon III. Dziś, czytając dzieje jego żywota i panowania, jego dętej sławy i sromotnego upadku zdobywamy się zaledwie na jałmużnę litości.

Ale czytajmy tę książkę! Nietylko dlatego, że jest napisana z talentem, nietylko dla ciekawostek przeszłości. Ta lektura narzuci nam analogie z teraźniejszością. Przekona nas jak niestrawną jest mieszanina demokracji — z totalizmem. Nauczy sceptycyzmu w ocenie, trwałości różnych efemerycznych wielkości, wyrosłych jako trujące ziele na glebie prawdziwej demokracji. St. Cz.

ANDRE SILLON: „Jego Ekscelencja ogląda świat". Autoryzowany przekład z francuskiego *Zygmunta Wita.* Warszawa 1938. Str. 215. Nakładem księgarni F. Hoesicka.

Książka w formie powieściowej przedstawia pod osłoną zmyślonej fabuły rzeczywiste stosunki wewnętrzne, panujące w jednym z krajów faszystowskich. Forma, miejscami niewybredna i wpadająca w ton agitacji wiecowej, nie stoi niestety na wysokości zadania, które autor (i tłumacz) podjął niewątpliwie w najlepszej intencji.

DUFF COOPER: Talleyrand. Przekład z angielskiego *Józefa Szpechta.* Warszawa 1937. Wydawnictwo J. Przeworskiego str. 376.

Historyk angielski Duff Cooper, odtwarza dzieje tego głośnego męża stanu na tle epoki. Monografia Talleyranda jest źródłowa, oparta na bogactwie materiału i uwzględniająca ostatnie wyniki badań historyków francuskich. Obracając się swobodnie w epoce z ogromną znajomością ludzi i zdarzeń, Duff Cooper nie opuszcza na chwilę Talleyranda, starając się jak najdokładniej pokazać czytelnikowi przebiegłość jego rozumu, przenikliwość i doświadczenie. Książka ta (w sumiennym przekładzie Józefa Szpechta) jest nabytkiem poważnym i pożytecznym.

STANISŁAW ŁUKASIEWICZ: „Głód niezaspokojony". Warszawa 1938. Str. 342. Nakładem księgarni F. Hoesicka.

Obiecujący talent Łukasiewicza mieliśmy już okazję przedstawić naszym Czytelnikom obszernie analizując jego powieść „Nauczyciele". Tom obecny jest zbiorem drobnych opowiadań, po części współczesnych, po części poprzedzających okres, w którym powstawali „Nauczyciele". Opowiadania te, jakkolwiek dorzucają nie wiele do walorów, ujawnionych w powieści, czyta się z żywym zainteresowaniem.

MARIAN PIECHAL: „O Norwidzie". Studium poświęcone „pamięci Józefa Ujejskiego, pierwszego czytelnika i krytyka tej pracy". Warszawa 1937. Str. 210. Tow. Wydawnicze „Rój".

Autor z naciskiem podkreśla w osobistości Norwida ciążenie do idei tradycyjnych, do opieki kościoła rzymskiego, do supremacji papiestwa, do konserwatyzmu społecznego. Pod tym względem Norwid był antytezą naszej demokracji emigracyjnej. „Norwid uznawał ducha - wiecznego rewolucjonistę, ale nie wierzył, by mógł się on przejawiać w tłumie, raczej w jednostkach, stąd kult wielkich postaci historycznych"...

Jeśli diagnoza Piechala się utrzyma, to Norwid może osiągnąć jeszcze niespodziewaną karierę pośmiertną, jako zwiastun i piewca dyktatorów.

Wydarzenia i dokumenty

„JA PŁACĘ, JA WYMAGAM".

Płk. De La Roque, osławiony przywódca faszystów francuskich, pozował na rycerza idei i piętnował dotąd wszelkie posądzanie go o sprzedajność jako nikczemne oszczerstwo. Dumnie dowodził, że jego „Krzyż Ognisty" wyższość swoją czerpie z niezależności, zaś sam urok faszyzmu jest jedyną dźwignią ruchu.

Tymczasem w procesie sądowym, który ostatnio rozegrał się w Lyonie, potwierdzone zostały w sposób jaknajbardziej autorytatywny wszystkie rewelacje prasowe co do subwencji, czerpanych przez De La Roque'a z funduszów gadzinowych. Były premier prawicowy Tardieu, występujący jako świadek w tym procesie, publicznie przyznał bez ogródek, że w czasie swego urzędowania a więc niemal bez przerwy od 1926 r. do 1932 r. udzielał stale subwencji pułkownikowi De La Rocque. Przyznał nadto, że później, ustępując z rządu, polecił swemu następcy, Lavalowi, dalsze wspieranie „Krzyża Ognistego".

Te zdruzgocące zeznania, oprócz swojej wymowy politycznej i państwowej, rzucają światło nie tylko na samą osobę De La Roque'a, o co mniejsza, ale także na źródła pochodzenia faszyzmu we Francji.

Demaskują one w sposób niemal widowiskowy tych wszystkich, którzy idą z hasłami faszyzmu do robotników i pracowników, obiecując im zburzenie kapitalizmu. To zburzenie kapitału dziwnym losu zrządzeniem, ma się dokonać za pieniądze samych kapitalistów!...

ULICA DOBRA 6/8.

W *„Dzienniku Porannym"* czytamy:

„Podajemy poniżej tekst listu p. Pawła Musioła, kuratora Z. N. P. do p. Michała Kopcia, prezesa okręgu poznańskiego Związku Nauczycielstwa Polskiego oraz odpowiedź p. Kopcia wystosowaną do p. Musioła.

Kurator Związku Nauczycielstwa Polskiego — tel. 269-08, L. 161563/Kurat.

Warszawa, dn. 12 października 1937 r.

POLECONY

Do Pana Prezesa Okręgu Z. N. P. w Poznaniu.

W dniu 30/IX b. r. zamianowany zostałem z ramienia władz, kuratorem Z. N. P.

Jako kurator wysłałem okólnik do prezesów okręgów Z. N. P. Nr. 13. Prezesów okręgowych wymienione okólniki zwróciło 4-ch w tej liczbie również Pan Prezes.

Fakt mianowania kuratora może się Panu podobać lub nie podobać, jednakże nie wolno Panu sabotować zarządzeń. Nie jestem kuratorem mianowanym przez siebie samego, ale przez Rząd.

Przykro mi, że muszę Panu przypomnieć podstawowe obowiązki organizacyjne i obywatelskie, ale to co Pan zrobił zmusiło mię do tego.

Proszę uprzejmie o przesłanie na moje rece wytłomaczenia tego kroku.

Z koleżeńskim pozdrowieniem

Kurator Związku Nauczycielstwa Polskiego.

(—) podpis (mgr. Paweł Musioł)

14 października 1937 r.
Do Pana mgr. Pawła Musioła
Warszawa, ul. Dobra 6/8.

Wypraszam sobie kategorycznie tego rodzaju pouczenia jakie przesłano mi w piśmie z dnia 12 b. m., które zwracam w załączeniu.

Należę do ZNP. od 1921 roku i od listopada 1928 r. do 1932 r. zajmowałem jako redaktor „Głosu Nauczycielskiego" stanowisko członka prezydium Zarządu Głównego ZNP., a następnie od 1932 r. dotychczas zajmuję stanowisko prezesa Okręgu Poznańskiego ZNP. Znam więc dobrze obowiązki organizacyjne i żadnych pouczeń w tych sprawach, zwłaszcza od Pana, nie potrzebuję.

Również nie potrzebuję ze strony Pana pouczeń o podstawowych obowiązkach obywatelskich. Znam je również bardzo dobrze, a dałem tego dowody, bo w 17-tym roku swego życia walczyłem w szeregach I Brygady Legionów Polskich, a następnie i w 1918 r. i w 1920 roku mimo odniesionego kalectwa, również ochotniczo walczyłem o utrwalenie bytu Polski. Dotychczasowa moja praca służbowa i społeczna także dostatecznie potwierdza moją znajomość obowiązków obywatelskich.

Stwierdzam, że okólników Pana poprzednio do mnie przesłanych nie zwróciłem, zachowując je, jako smutne dokumenty chwili. Uczyniony więc mi przez Pana zarzut zwrotu tych okólników jest niesłuszny.

Może mnie Pan donieść do władz za moje stanowisko i może Pan spowodować zawieszenie mnie, jako prezesa Okręgu ZNP., nie mniej jednak, chociażby za to ostatnie pismo, które Pan mi przesłał, nie mogę mieć do Pana — jako do osoby prywatnej — żadnego poważania.

(—) Michał Kopeć
Prezes Poznańskiego Okręgu ZNP".

ULICA SMULIKOWSKIEGO 1

Pan M. Musioł w zaprzyjaźnionej z nim prasie codziennej umieścił list, w którym czytamy:

„W związku z fałszywemi wiadomościami, rozpowszechnianemi celowo na temat „Płomyka" i innych pism dziecięcych Z. N. P. — uprzejmie prosimy Szanowną Redakcję o zamieszczenie — możliwie szybkie w ich piśmie poczytnem następującej notatki:

Pomimo utrudnień technicznych, nowy (7 i 8) numer „Płomyka" już się ukazał. Skład komitetu redakcyjnego pism dziecięcych Z. N. P. przedstawia się obecnie następująco:

Z. Laskowska, Z. Rontaler, Janina Wasilewska (nie utożsamiać z p. Wandą Wasilewską), Z. Wiśniewski, M. Wojciechowski, E. E. John i J. Poliński".

Na to pismo p. Musioła, prostujące „fałszywe wiadomości", znajdujemy w *„Dzienniku Porannym"* autorytatywną odpowiedź pracowników ZNP.:

„Pan P. Musioł ogłosił dnia 19 b. m. w „Wieczorze Warszawskim" list, zawierający wiadomości całkowicie nieprawdziwe. Pan Musioł ogłasza, że udało mu się mimo „utrudnień technicznych" wydać nowy numer (7 i 8) „Płomyka". Stwierdzamy, że oba te numery były całkowicie zrobione przez pracowników ZNP jeszcze przed przyjściem p. Musioła do ZNP, to znaczy przed dniem 30 września, nie są więc zasługą p. Musioła, ale przejętą przez niego pracą personelu ZNP.

Pan Musioł podaje dalej skład „nowego komitetu redakcyjnego czasopism dziecięcych ZNP", formułując swój list w ten sposób, by wzbudzić w czytelnikach wrażenie, że nr. 7 i 8 „Płomyka" są zrobione przez „nowy komitet". Tymczasem na obu tych numerach widnieją podpisy te same, co w numerach poprzednich: M. Kotarbiński, H. Ładosz, J. Wilska, E. Szymański, W. Wasilewska, K. Pieniążek, W. Burek, A. Świerszczyńska, a jako wydawca figuruje członek Zarządu Głównego, St. Kwiatkowski.

Wobec nowego składu rzekomego komitetu redakcyjnego nie zdziwimy się, że p. Musioł nie zdołał zmontować żadnego numeru, gdyż nie ma tam ani jednego nazwiska, znanego z pracy literackiej czy dziennikarskiej".

***

„W tejże sprawie donoszą nam, co następuje:

Ukazały się wiadomości w prasie o powołaniu przez p. Musioła nowego komitetu redakcyjnego czasopism, oraz zaangażowaniu nowych pracowników do różnych działów pracy Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Nauczycielstwo Okręgu Warszawskiego ZNP w imieniu własnym jak również w przekonaniu, że jest wyrazem ogółu nauczycielstwa związkowego, stwierdza, że uzna jedynie i wyłącznie tych redaktorów i pracowników ZNP, którzy zostali zaangażowani przez Zarząd Główny ZNP".

REDAKCJA i ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. ORDYNACKA 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26.630.
REDAKTOR przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalnie — zł. 3.— Numer pojedyńczy 50 gr.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40
REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC 4269 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka. Warszawa. Ordynacka 3